

Djabeł, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Djabet

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

TOM I

Józefowi Kremerowi
AUTOROWI LISTÓW Z KRAKOWA,
w dowód głębokiego szacunku
PRZESYŁA
AUTOR

Powieść ta napisana była w roku 1853, zatem lat dwadzieścia temu; drukowała ją Gazeta Warszawska Antoniego Leśniowskiego, a później nieco poprawną wydał w Wilnie Zawadzki. W kilka lat potem przełożona na język Czeski, doczekała się w nim dwóch wydań.

Za podstawę do niej służyły żywe podania, rękopisma i mnogi materiał pamiętnikowy, który by dziś znacznie mógł być obfitszym i dozwolił może z większym bogactwem szczegółów, epokę tę odmalować. — Nie chcieliśmy wszakże przerabiać *Djabła*, aby mu pierwotnego jego charakteru nie odebrać i nie tknęliśmy go wcale. Warunki w jakich pisanym być musiał naówczas, jak łatwo się domyśleć, wpłynęły znacznie na rozwinięcie obrazu, którego część po za ramy się usunęła. — Ogólny pomysł powieści musiał być do wymagań artystycznych zastosowany, treść jednak — zapewnić możemy, jest ściślej historyczną, niżeli by się zdawać mogło. — Opowiadania współczesnych tej epoki, którzy w jej życiu gorący udział brali, najwięcej nam posłużyły do nacechowania epoki, i niema — możemy śmiało powiedzieć, jednego rysu w *Djable*, który by: *mutatis mutandis*, z nich zaczerpnięty nie był. Naówczas jeszcze spotykało się na prowincji starych szambelanów Stanisławowskiego dworu, siwych już paziów J. K. Mości, oficerów Kościuszkowskich, posłów czteroletniego Sejmu, dawnych urzędników i złotą młodzież z czasów *tężyzny*, która to gadatliwością starym właściwą, opowiadała swe wspomnienia. Autor miał tę słabość i nawyknięcie, że słyszane powieści co dzień sobie spisywał, ratując je od zaguby. Służyły mu one później nie tylko do tego opowiadania, ale do bardzo wielu innych, z tegoż źródła dobytých. — Radzibyśmy aby za przykładem naszym i młodsze pokolenie zbierało podania żywe, których drogocennej treści, najżywszą wyobraźnią zastąpić niepodobna. Rola jej ograniczać się musi w wykonaniu szczegółów i odżywieniu suchych tych danych, które w pierś żywą włożone, jak róże Jerychońskie odzielone, wskrzeszone wykwitają.

D. 18. Listop. 1872
Drezno

J. I. K.

I

Było to jakoś w marcu 1787 roku, w porze ze wszystkich u nas najmniej stałej, o czem z dawna świadczy przysłowie, (widać klimat się nie zmienił). Wyrzywały się czasem dzionki z jasnym słońcem i cieplejszym powietrzem, to znowu jak zadał wiatr z północy lub wschodu, napędzał śnieżnicy ogromnej, mrozu i pluty na przemiany, tak, że pies na dwór nosa by nie wytknął.

Wszyscy panowie szlachta gospodarze, siedzący po otkanych dobrze i zamczystych dworkach swoich, z kalendarzami na stołach a okularami na nosie, unosili się nad szczególniejszą trafnością, z jaką prognostyki na ten raz zmiany aury przepowiadały. Duńczewski tryumfował, nie trudno bowiem było zgadnąć w stylu kalendarzowym, pisząc o marcowej pogodzie — jasne i chmurne dni chodzące jak zwykle stronami; znalazła się zawsze jakaś strona, w której przepowiednia trafiła. Wyglądano wiosny jak to się jej co roku wygląda, choćby kto był najstarszy, i sześćdziesiąt ich widział, z niecierpliwością, z upragnieniem, czasem aż do rozpaczyny dochodząc, gdy po dniu jasnym i zwiastującym trawkę zieloną, chwycił znowu przymrozek i sypnął śnieg na przekor.

Czuje bo człowiek że policzone dni jego, że tych wiosennych cudów nie wiele mu oglądać: w dzieciństwie nie dozwala niemi się nacieszyć szalą latek nieopatrznych, w młodości zasłania oczy krew gorąca, a na starość nic już nie bawi, dla niej zima rok cały. Tylko w pośrodku życia jest jedna chwila tęsknoty, chwilka niedługa, w której się człowiek czepia do ziemi; ukocha ją i uczuje goręcej, jakby przed rozstaniem.

W tym roku, jakoś im gorętsze były życzenia wiosny, tem leniwiej dla nich zdawała się przychodzić; zanosilo się było zawczasu na ciepło, stopniały grudniowe śniegi, myślano już z pługami i radłami wychodzić w pole, aż znowu uderzyły mrozy, zaszumiały zawieje, i zima jak w grudniu.

Tymczasem, pomimo nieprzyjaznej aury i groźących roztopów wiosennych, król Jegomość Stanisław August, na nic niezważając, posuwał się ku Kaniowu; a na całej drodze, którą miał przebywać, czyniono wielkie na przyjęcie jego przygotowania. Nie tylko miasta, miasteczka, gródki, ale wioski i dworki, ba, austerje po gościńcach oczyszczały się, stroiły i gotowały solennie witać monarchę.

Kraj przez który miał przejeżdżać, cały był w wielkim ruchu, niepokoju, zamieszaniu; do zakątków nawet odleglejszych docierały wieści i zwykły tryb życia zmąciły. Grody budowały luki tryumfalne, złociły klucze, a co było uczonych lub uchodzących w swej profesji za literatów, kuło wiersze łacińskie lub polskie, kleciło mowy, piłowało dystychy, rysowało cyfry, wieńce, palmy i emblemata. Ciolka Poniatowskich obracano na wszystkie strony, czyniąc go to wołem ofiarnym starożytnych, to symbolicznym siły wyrazem. A że król Jegomość sam, nie bez pewnego prawa za uczonego uchodził, i znał się na tych rzeczach niepospolicie, wiersze i oracje niemało kosztowały potu i mozołu — a co w nich zasiano nadziei!! Piękne panie poczawszy od wojewodzin do prostych ale ładnych szlachcianek, sposobiły się też, zbrojne we wszystkie swe wdzięki, wystąpić na przyjęcie koronowanego, który, że na piękności znał się także, i umiał ją cenić, powszechna chodziła fama.

Sprowadzano stroje z Warszawy i Paryża, dobywano kosztowności pradziadowskie, mężom bolały głowy do wydawania i wysłuchiwania rozkazów, a co i tu nasnuło się pajęczych nitek nadziei!!

Panowie szlachta moderowali stare swe rządy i wysadzane kulbaki, których Karol Gustaw nie pozabierał na pamiątkę do Szwecji, i co od Wiedeńskiej świata nie widziały wyprawy, tylko przez okna lamusu, lub masztarni; ujeżdżali koniki, kręcili wąsy i zmwiali się gdzie króla Jegomości spotykać wypadało. Nie było pokoju nikomu, nawet kahałom żydowskim, niedozwalającym się ubiedzić; bo rabini także smażyli głowy nad mowami szpikowanymi starym testamentem, a jeden z nich nawet wypalił rezolutnie oracją po łacinie, co ksiądz Naruszewicz nie mało podziwiał.

Jednych ciekawość, drugich próżność, innych nadzieja tajemna, wiodła naprzeciw pańskiej kolasy; wywiadywano się pilnie o kierunek drogi, o stanowiska, noclegi, odpoczynki, przepzęgi, na wyścigi dobijając o cześć przyjmowania króla, choćby tylko przez ćwierć godziny, bodaj w karczmie traktowej.

Była to chwila szału nie do opisania, a tysiące scen drobnych czyniły ją naprzemian śmieszną, rozrzewniającą, poważną. Jedni wynosili naprzeciw monarchy dzieci przebierane wytwornie, wyprowadzali chóry dziewic strojnych, stawiano ołtarze, wznoszono piramidy i świątynie, palono ognie ofiarne, odegrywano dramata, deklamowano panegiryki, a co było nieraz lataniny, krzątania i kłopotu nim się udało na swoim postawić — na wołowej by skórze tego nie spisał.

A wieleż to śniadań gorących w oczekiwaniu próżnem zamarzło, wiele to wykwiutnych wieczerz zjedli słudzy — zawodów tu, jak wszędzie nie brakło. Pora była marcowa, drogi niepewne, błota i grudy naprzemiany, król często chybiał przyrzekłszy, i do rozpaczy doprowadzał gorejące serca poddanych.

Biada temu, kogo losy niosły w drogę królewskim gościńcem — nie znalazł nigdzie austerji wolnej na trakcie, nie mógł się rozminąć ze szlachtą licznymi krążącą pocztami, z pułkami magnatów butnymi jak Tatarzy, z ciurami, wozami i landarami zalegającymi drogę całą.

W Głuszy, wiosce wołyńskiej, należącej podówczas do podczaszynej Ordyńskiej z domu księżniczki W... która znajdowała się właśnie na drodze Jego Królewskiej Mości,

czyniono już przygotowania od miesiąca na odwiedziny królewskie: miała bowiem podczasyna pewną obietnicę i słuszne powody spodziewania się, że król jej dotrzyma.

Głusza, ogromna osada o której geograficznym położeniu zamilczeć nam wypadnie, była jedną z przepysznych włości bogatego kraju naszego, co to im nie brak nic od Boga; ludzie sobie winni sami, jeśli im tam niedobrze. Klucz, którego stanowiła główne fundum, składał się z kilku wielkich wsi i przysiółków, liczących do tysiąca domów; jedną stroną przypierał do odwiecznych puszczy i lasów, drugą do najżyźniejszych pól w świecie. Środkiem płynęła rzeka spławna, użyźniająca nieprzekoszone łąki, obracająca niezliczone młyny, i jakby umyślnie podsuwająca się pod sam ogród pałacowy dla dodania mu rozmaitości, świeżości i wdzięku. Samo fundum, stara niegdyś siedziba książąt W... których ostatnią dziedziczką była podczasyna, odznaczało się położeniem, jak wszystkie odwieczne grodziska na tej ziemi.

W wiekach kiedy więcej było pustych obszarów niż ludzi, umiano dobrze wybierać posady zamczysk i dworców, stawiano je zawsze u szumiącej wody, na wesołych wzgórzach, w pośród cienistych drzew, pilnując, żeby i oko z wałów miało się gdzie porozkoszować, pobujac, a nieprzyjaciela z daleka dopatrzeć. Ale teraz ani śladu już nie pozostało starego gródka w Głuszy, który się niegdyś bronił Tatarom, a w ostatnich wojnach kozackich został zburzony; na jego miejscu zbudowano pałacyk w początku drewniany, później murowany gmach, który się otoczył za Augusta II. ogrodem we włoskim smaku, a dziś przerabiał na dzikie promenady. Jedynym śladem starożytnego grodziska, były zielone wały, poprzerałone na tarasy ogrodowe i fosy, na których stawiano zgrabne mostki w stylu *rustyk* zwanym. Obok starych lipowych szpalerów, altan i strzyżonych w kształcie piramid, wazonów i kolumn, świerków i grabów, puszczały się swobodnie posadzone drzewa, białe altany w sposobie świątyń i chińskich domków, groty muszlami i kamykami misternie sadzone, pustelnicze chatki i niby wiejskie chałupki. Sam pałac ze wspaniałym frontem, świeżo przerobionym wedle planu budowniczych królewskiego Merliniego i Fontany, wspaniale zdobiły dwa rzędy kolumn od dziedzińca i ogrodu; od wjazdu przedłużały go dwie oficyny o piętrach, a podwórzec kwadratowy z fontanną, która nie zawsze biła, zamykały żelazne sztachety i brama ustrojona w trofea militarne. Słowem, była to wcale pańska rezydencja, której by się najwykwintniejszy z magnatów nie powstydział, a w urzędzeniu jej znać było smak wielki i najczulszą staranność. W tej chwili wyglądało to wszystko, dzięki spodziewanym odwiedzinom królewskim jeszcze świetniej, piękniej i ozdobniej. Pałac był na nowo pomalowany, dziedziniec brukowany i wyżyrowany, a gdyby nie śnieżek co gdzieniegdzie plamił ziemię, nie dojrzałbyś na niej żadnej zimowej pstrocin, tak pilnie ją czyszczono i ubito. W pałacu, oficynach, na przyległym folwarku, w stajniach, wszędzie zakręt i ruch był ogromny; ludzie latali jak oparzeni, rzały poubierane w aksamitne chomąta i farbowane pióra konie, otrzepywano powozy, nakładano kulbaki, zwoływano się z daleka, kłął nie jeden, bili nawet niecierpliwi, i w powszechnym zamęcie widać tylko było, że się wszyscy ogromnie spieszyli.

Na progu pałacowym stali kupkami pacholki, liberja, dworzanie, pokojowcy, popychając się, spędzając, wbiegając i wybiegając z pokojów; groźny głos marszałka wąsatego dawał się słyszeć czasami, to znów ginał w głębinach antykamery. Wewnątrz nie więcej było hałdu i nie mniej niecierpliwości. W wielkiej sali niebiesko marmoryzowanej, zaokrąglonej od ganku ogrodowego, między której kolumnami ukazywały się malowane zręcznie w niszach boginie, bogowie greccy i tancerki herkulańskie, szum dawał się słyszeć pomieszanych głosów niewieścich i męskich. Sala ta najwspanialsza w pałacu, ubrana była z wcale nie wiejską wykwintnością; rzekłbyś, że ją całą w pace z Paryża sprowadzono, tak od stropu do posadzki, lśniła się najmodniejszym przepychem.

Niemal wszystko tu było nowiuteńkie i tak doskonale dobrane, jakby z pod jednego sztukmistrza i rzemieślnika wyszło dłoni. Kształt sprzętów, ozdób, draperyj, fraszek co ją zdobiły, dziwnie się pięknie godził z formami budowy, z jej stylem i architektonicznymi ornamentacjami. Postacie bóstw, wśród tego, jak świątynia starożytna, przybranego salonu, unosiły się wdzięczne, rozkoszne, a tak wybornie umieszczone, że bez nich byłoby mu czegoś niedostawało. Wprawdzie, te figury trochę były za nagie, trochę na starą Polskę za śmiało rysowane, wielce pogańskim trąciły światem; ale też i salon którego stroju dopełniały, nie miał w sobie nic polskiego, nic coby przypomnieć mogło kraj, na któ-

rego stał ziemi. Z końca w koniec zaludniała go myśl pod obcą urodzona strefą, sprzęty zagraniczną wyrobione modą i ręką, tkaniny nie naszych warsztatów, obrazy nie naszego życia. Było to w swoim rodzaju doskonale piękne, ale całkowicie zimne, jak wszystko co modne tylko i nowe, z czym się człowiek nie poślubił godzinami wspomnień i cierpienia. Wielka ta sala, która środek pałacu zajmowała cała, ze ścianami w niebieski marmur z żyłkami złotymi, z kolumnami białymi z wytwornymi gipsaturami, z bóstwy pogańskimi, w tej chwili poczyniała połyskiwać od zawczasu zapalonych świateł w żyrandolach ze szkła i brązu, w kandelabrach i alabastrowych urnach, których cztery stały po rogach na marmurowych półkolumnach. Bogate draperje z białego i niebieskiego atlasu, ze złotą i białą frędzlą, zwisały się we wdzięcznych fałdach po nad okna; i w około trojga drzwi wiodących do przedsienia i bocznych pokojów. Z dwóch stron, dwie kanapy także ozdobione brązami, stoły w stylu greckim oparte na chimerach i podobne fotele obite niebieskimi gobelinami, czekały tylko gości, mających zasiąść do koła. Przed trojgiem drzwi szklanych wychodzących na ogród, stały na półkolumnach białych, podobnych do tych na jakich w rogach ustawiono urny alabastrowe, sześć pięknych posągów marmurowych, wybornie naśladowujących starożytne. Były one dłuta Le Brun'a i wystawiały Apollina Belwederskiego, Antinousa, Herkulesa, Venus Medycejską, Florę i Bachantkę. Na konsolach między oknami, widać było prócz tego, przepyszny zbiór was etruskich. Kilka żółtych popiersi wybornego starożytnego dłuta, parę drobnych brązów z wykopalisk Pompei, i nowsze statuetki w smaku wieku. Wyjąwszy alfrezca w niszach, nie było w sali malowań innych, ale dwanaście tych postaci dosyć ją ożywiały. Posadzka była z kunsztownie wysadzanego drzewa, na sposób dawnych mozaik, z niepospolitym wykonana smakiem; w pośrodku jej kwadratową wielką taflę zajmowała kopja obrazu starożytnego, zwanego *weselem Aldobrandyńskim*.

Spojrzenie na tę jedną salę, dawało się już domyślać mieszkańców tego domu, tęskniących pod chmurnym niebem północy, za cieplejszą ukochaną Italją, za gwarną Francją, za wszystkim co nie nasze.

Nim poznamy bliżej nieco i pałac i jego właścicieli, spojrzmy na grupę, która niespokojnie zwija się w pośrodku wielkiej niebieskiej sali. Główne w niej stanowisko, zajmuje kobieta lat średnich, nie bardzo już młoda, lecz jeszcze świeża i ładna, której widocznie chodzi o to by się jak najpiękniejszą, jak najmłodszą pokazać jeszcze. Strój jej wedle najświeższego kroju w Paryżu podobno kurjerem sprowadzony od sławnej Henryetty, wyfilozofowany był, ażeby odmłodzić, i po części celu swego dopinał. Cała prawie była w bieli, złoto tylko gdzie niegdzie połyskiwało na tem tle śnieżnym, i dodawało mu powagi. Była to wyniosłej postawy i poważnego oblicza kobieta, z oczyma niebieskimi, z brwią i włosiem ciemnym, z koralowemi usty, których różowość z puszeki wyczerpniętą być musiała, a tak biała, tak świeżuchna i rumiana, że nie jeden niedowiarek i te kolory uznałby za pożyczane. Na czole jej świecił djadem przepyszny, niby gałąź polnej konwalii, której kwiaty z pereł i djamencików, a liście były z smaragdów... gdzieniegdzie na listku czepiała się brylantowa rosy kropelka. Na szyję spływał sznur pereł, spięty ogromnemi brylantami, a drugi podobny spleciony tylko inaczej, utrzymywał suknię w stanie, opasywał piękne ręce. Cała suknią zaszyta w złote drobniuchne gwiazdeczki migotała, ale na nieszczęście, barwą swoją nazbyt widocznymi czyniła kształty, którym lata nadały nieco za wyraziste obrysy. Owal twarzy piękny jeszcze i regularny, mdławe spojrzenie pełne dotąd melancholicznego wdzięku, usta ślicznego rysunku, jeszczeby pociągnąć, jeszczeby podobać się mogły, gdyby może nazbyt nie ubiegały się o to. Z pod zasłony w pół przezroczystej, którą jak chmurką osłoniła szyję, nieco rąk i gorsu, przeglądały paluszki drobniuchne, różowe, prześliczne jeszcze, gdyby ich nadto pierścieni nie ukrywało. Łatwo w niej było poznać panią domu, po głosie, postawie i rozkazach które wydawała. — Obok niej stał młodziuchny mężczyzna, rzadkiej piękności i słodczy wyrazu w twarzy, którą jeszcze nawet puszek młodzięczy nie okrył. Dość słusznego wzrostu, ale gibki i cieniuchny, rysy miał doskonałe, niemal niewieście-piękne, oczy czarne, ogniste, osobliwszą na wiek palającą energią, usta trochę ściśnione ale drobno wycięte, czoło wyniosłe i nos prosty z rozdętymi nozdrzami, arystokratycznego galbu. Była to wprawdzie piękność raczej kobieca niż męzka, ale i wiek tak młody, że zmęźnić nie dał mu czasu. Ubranie wszakże młodzięca starsze było od niego i niczem się nie różniło od wykwintnego stroju panów owej epoki. Miał na sobie frak z fioletowego weneckiego aksamitu haftowany perełka-

mi, z guzami perłowej macicy i brylantów, podobną resztę ubrania, kamizelkę z białego atlasu ze srebrem, białe pończochy i z bogatymi sprzączkami trzewiki. Z rękawów fraka, z pod kamizelki płynęły prześlicznych koronek zwoje, wśród których wielka tylko na piersi ciemniała kamea. Puder okrywał mu włosy, i coś powietrznego, idealnego nadawał tej twarzy, którą jakby białym śnieżnym obłokiem, puklami otaczał. Kobieta niekiedy spoglądała na uśmiechnięte lica młodzieńca z dumą, z wewnętrzną jakąś radością, która zdradzała matkę — ale nie miała czasu pocieszyć się widokiem milej twarzy, bo ją od niej tysiączne odrywały starania. Służąca jeszcze opinała na niej białą ową chmurę, a druga zamykała bransolety, trzecia ustawiała coś w misternej fryzurze głowy, inna ociągała suknię i dysponowała fałdom, by się jak najrzęczniejszy układały, a dziesięciu przynajmniej z męskiej służby stało czekając rozkazów, które się krzyżowały, latały, odwoływały, powtarzały i gmatwały do niewyrozumienia.

Obok młodego człowieka stał drugi nie stary wcale mężczyzna, dziwna zaprawdę figurka, ale widać że ważna, bo na jednej stopie z panią domu dysponował i rozrządzał się absolutnie. Był to człowiek lat około czterdziestu mieć mogący, średniego wzrostu i uśmiechniętej twarzy, którego wszystkie ruchy dworactwem przesiąkły jak gąbka wody i uśmiechu pełne się być zdawały. Nadzwyczaj zgrabny, giętki, wyłamany, gdyby nauczyciel tańcu lub fechtunku, jegomość ten cały przecie w czerni był ubrany, a rabacik maleńki przekonywał, że do stanu duchownego liczyć się miał ochotę. Frak jego, kamizelka, pończochy, trzewiki, wszystko było czarne; maleńki płaszczyk zarzucony na ramię strój cały przykrywał. Kapelusik miał pod pachą, u boku cieniuchną szpadę, na trzewikach świecące klamerki stalowe, na piątym palcu prawej ręki sygnecik brylantowy, mankiety i żabocik suto przystrojone koronkami. Nie wiem jak wam dać wyobrażenie tej tłusciuchnej maskowatej twarzyczki, u której pod nastrzępioną fryzurą biega dwoje oczek piwnych, żywych, złych, dowcipnych i bystro chwytających najmniejszy ruch, najlżejsze skinienie; jak odmalować uniżoność tę i dumę, pochlebstwo pomieszane z sarkazmem, które się doskonale zamalgamowały we wszystkich jego gestach i poruszeniach. Odmalujcie go sobie sami, domyślcie jeśli chcecie, choć nic dziś za wzór do tego obrazka służyć nie może. — Ja się wyrzekam.

Naprzeciw pani podczaszynej, jej syna i labusia w paradnej herbowej liberji, na której łączyły się smoki książąt W... i bramy obozowe Ordyńskich, stało kilku służących, mocno wypudrowanych i strojnych, a na czele ich czarno ubrany, widocznie pierwszy kamerdyner, cudzoziemiec z miną poważną i przejętą bardzo godnością swoją a ogromem włożonych na się obowiązków — z marszczką na czole, z zagryzionymi ustami — ostatnie odbierał rozporządzenia i rozkazy.

Trochę z boku, w polskim stroju, dworak jakiś posiwiły, kiwając głową i ruszając ramionami, przypatrywał się wszystkiemu niespokojny.

Rozmowa piorunująca toczyła się po francuzku w kółku wybranych.

— Prawdziwie to trzeba oszaleć, cieniuchnym ale wyuczono-spieszczonym głosem wołała żywo podczaszyna — tysiące jeszcze rzeczy zostało się na sam ostatek! a godzina blisko. A! mój Labe, gdyby broń Boże chybić co miało, jaby umarła, jaby zemdląca ze wstydu! Wystawcie sobie że o nasz honor chodzi; przyjmujemy króla! potrzeba przekonać Najjaśniejszego Pana, że i w naszym kraju, może się znajdować dom na zagranicznej całkiem, na wykwińskiej stopie. Labe Poinot! kochany Labe! zlituj się nademną! uspokój mnie, drzę cała — dodała mdlejące coraz bardziej spojrzenie rzucając na fertycznego francuzika, który się wciąż uśmiechał dla uspokojenia podczaszynej.

— Niech wasza ekscelencja (tak zawsze tytułował Poinot panią podczaszynę) niech wasza ekscelencja, zupełnie być raczy spokojną — wszystko gotowe, lub gotowości blizkie i wszystko udać się musi!

— Kiedyż bo to z temi gburami, z temi ludźmi naszymi, z temi — niezgrabiaszami, mój Labe, niepodobna nic w porze i porządnie zrobić. To są męki Tantalą! Już już, zdaje ci się że pojęli, aż oto najokropniejszą gotują ci pomyłkę! — Panie Sieninski, dodała głosem odmiennym po polsku do starego kontuszowego, idź mi waćpan zaraz z oczów i nie śmieję się pokazywać w tym barbarzyńskim, tatarskim jakimś stroju — pilnuj tylko zdaleka porządku i bezpieczeństwa.

— Tak, mruknął odchodząc stary z powolnym ukłonem — idź precz a pilnuj, bo co ci Francuzi, te pudle i szpice co tak zrzęcznie na dwóch łapkach służą, pewnie nic

nie dopilnują, rychlej by zwędzili. Pójdę, pójdę, i po jakiego bym tu djabła miał leźć nieproszony.

— Monsieur Robert! zawołała podczaszyna — zmiłuj się, pilnuj żeby światła były wszędzie pozapalane, żeby służba wdziała rękawiczki w porę, pamiętaj też o pokojach królewskich... W gabinecie światła powinny być przyćmione — zawiesiliście mój portret tam gdzie kazałam?

— Alfierze, odezwała się do syna, posyłaj po karety, nie będę czekać na te panie, które się ubierają bez końca, niech mnie doganiają pod austerją — boję się, truchleję, ginę żebyśmy się nie opóźnili! Czy są ludzie z wachlami rozstawieni od gościńca w alei do dworu? niech zapalą ogień co prędzej! na Boga! gotowi mi illuminacją przez głupią oszczędność poplątać.

Pani podczaszyna wołała tak mieszając rozkazy najrozmaitsze blisko ćwierć godziny, a coraz to ktoś wyleciał, rozległ się czyjś głos w ganku, bieganie po wschodach, szmer w sieni. Sam nawet Labe i pan Alfier niejednokrotnie do różnych poselstw użyci byli. Tymczasem zmierzchało, zmierzchało powoli, pani podczaszyna coraz się bardziej niecierpliwiła, aż wreszcie zatoczyły się powozy, zajęchała służba konna, janczary, kozaki, pacholeta postrojone i podczaszyna zaklinając znów labusia by wszystkiego pilnował, by o wszystkim pamiętał, ruszyła ku pojazdowi, który na nią i na syna jej czekał; kobiety rzuciły na nią lekką jak piórko szubę, białą atlasową z łabędziego puchu, na Alfiera przepyszne futro sobolowe z pąsowym wierzchem, widocznie z pradiadowskiego przyakomodowane, i syn z matką wyszli na ganek.

Tu widok był prześliczny.

Długa aleja lipowa, ręką zimy jakby naumyślnie przystrojona w białe szrony, cała świeciła dwoma rzędami pochodni, przez spędzone umyślnie trzymany gromady; wśród tych migocących światel, gdzie niegdzie na podwyższeniu, płonęły beczki smolne, całe okryte gałęzmi sośniny i jodeł w kształcie piramid posplatanemi. Pałac i oficyny rześisto gorzały lampami po gźemsach, u kolumn drzwi i okien rozwieszonemi. Ta czarodziejska illuminacja, jakby blaskiem dnia zachodzącego, lub luną pożaru oświetlała dziedziniec, zajęty w tej chwili dworem pani podczaszynnej. Stały w nim kilka karet paradnych, zaprzężonych białemi, tarantowanemi i dzikiej maści cugami. Obok nich we wschodnich niemal strojach, dworskie janczary, kozactwo, barwa, pacholeta, na dzielnych koniach czekali na panią. Krewny daleki Ordyńskich i dawny przyjaciel ich domu, a sługa z pradziadów książąt W... pan stolnikowicz Puchała, w odświętnych szatach, przy kameryzowanej szabli, która niemal cały jego składała majątek, w starym kołpaku sobolim pod czaplím piórem, stał na przodzie dowodząc orszakowi, który miał podczaszynnie towarzyszyć. Pani ledwie rzuciła okiem na otaczające ją sługi, i szepnęła do syna wsiadając do karety:

— Mój Boże, jak to wszystko dziko wygląda! jak to jeszcze polskie! u nas prawdziwie nic zrobić nie można, jesteśmy niewolnikami przesądów nawet w ubraniu! Siadaj Alfierze, a nie zapomnij komplementu sobie przygotować, którymbys powitał króla naszego, gdy mu cię zaprezentuję.

— A! nie pożegnałem się z babunią! szepnął cicho młodzieniec.

— Ale siadajże! kwaśno odpowiedziała matka, nie odjeżdżasz przecie do Ameryki; zbyt jesteś jeszcze dzieckiem na twój wiek, wierzaj mi.

— Ruszać! zawołał grzmiącym głosem pan Puchała — i powozy poczęły się powoli posuwać z przed ganku w oświeconą aleję.

Labuś który był przyprowadził podczaszynę do karety, natychmiast się cofnął i wbiegł szybko do pałacu, służba poszła za nim, i wkrótce podwórzec był niemal pusty, a lampy same sobie paliły się powolnie, bo nikt się ich blaskom nie przypatrywał.

II

Za kolumną w głębi, stał przyglądając się z daleka odjazdowi podczaszynnej, stary niegdyś marszałek dworu, Sieniński, gładził wąsa, zażywał tabaki, poglądał, mruczał i ruszał ramionami jak to zwykle starzy aż nareszcie odezwał się nieco głośnie.

— No! kiedym ja niepotrzebny, a te frygi mają tu królować, to czegoż sobie będę darmo głowę łamał, żeby im pieczone i gotowane podstawić; niechajże sobie rady dają, a ja wolę do mojej starej jejmości!

To rzekłszy i poprawiwszy pasa na dość zaokrąglonym żołądku, krokiem poważnym zmierzzył ku oficynie. Wszędzie to teraz nawet po kątkach krzątano się, umiatano, ustawiano, przygotowywano i kłócono się z Francuzami, których dom był pełen, na co pan Sieniński tylko się uśmiechał. Minął tak obojętnie drzwi jedne i drugie, otworzył furteczkę, i w rogu oficyny najdalszym wszedł na ciemne wschodki, z drzwi już na ogród nie na podwórzec otwartych, wiodące ku górze. Wschody te stały ciemne, ale światła z dziedzińca, przez okna wpadające na korytarz, dostatecznie do pokierowania się, błyskiem odbitym je rozwidniały. Tu cicho było, samotnie, ani śladu ruchu i gwaru, który w reszcie zabudowań pałacowych panował.

Zcicha otworzył drzwi pan Sieniński, wsunął się boczkiem do pierwszego pokoiku, dobrze ogrzanego, ale dość ubogiego w sprzęt i ozdobę.

Był to przedpokoik z kominkiem, na którym paliło się ognia trochę — w nim stół dębowy, zydeł, stołków para, trochę garnuszków i imbryczków, szafka w ścianie i skromne łóżeczko. Przed kominem na stołku siedziała dziewczę z kądzielą i widać że drzemało, bo bardzo żywo jęło się do wrzeciona zobaczywszy wchodzącego.

— A jejmość co robi? spytał po cichu i ostrożnie Sieniński.

— A cóż? modli się odpowiedziała dziewczynka.

Wtem ze drzwi przymkniętych wiodących do dalszych pokojów, dał się słyszeć głos cichy i łagodny.

— A kto tam?

— To ja Jaśnie Wielmożna pani, odparł stary głośnie, to ja, Sieniński; ale może przeszkadzam?

— Chodź-że waszec, chodź! odezwano się znowu z głębi.

Obciągnąwszy kontusza i poprawiwszy pasa, potarłszy czupryny, Sieniński przybliżył się na palcach, powolnie drzwi uchylił i wsunął się z niskim ukłonem do drugiego pokoiku.

Ten drugi niewiele był ozdobniejszy od pierwszego; widać, że w przerabianiu pałacu, zapomniano o tym kątku. Było to jeszcze przeszłowieczne jakby mieszkanie, okna z szybkami niewielkimi, obicia wypłowiałe na ścianach, lamperje lakierowane na biało — sprzęt także niebył wytworny, znać go tu zniesiono po reformie umeblowania, bo krzesła, kanapka, stoliki, miały postać zużytych starych sług przeszłego pokolenia. — Na boku pod ścianą, stał nieco wykwintniejszy kantorek wysadzany, na nim zegar odwieczny gdański, dwa stare puhary i różne drobnostki nie nowego kształtu i smaku.

Na ścianach ciemnych kilka obrazów, przedstawiały postacie i sceny pobożne, a wśród nich portret pięknego mężczyzny z podgoloną głową, w rysiej kierei i zbroi, szczególnie odbijał wyrazem oblicza męzkim a łagodnym. Tuż zawieszona była Najświętsza Panna Częstochowska, a przy niej gromnica, lampa i wianki, dalej święty Michał Archanioł obraz staroniemieckiej szkoły, w ramach ołtarzykowych, i święty Józef z lilją w ręku, i święty Franciszek i Antoni Padewski. Cała niemal litanja wisiała na ścianach w różnych formatach i kształtach, ale nie było między temi wizerunkami brzydkich bazgranin nieumiejętnej ręki; wszystko niemal albo kopijami były z włoskich mistrzów, lub staremi naiwnymi utworami niemieckiej szkoły XV. i XVI. wieku.

Jeden też to przepych był w tym pokoiku, zresztą nadzwyczaj skromnym i ubogim. Na krześle ostawiona poduszkami, siedziała u stołu zgrzybiała staruszka w białym czepcu przewiązanym żółtą w szafranie ufarbowaną chusteczką, w białym szlafroku, z różańcem w ręku i wielką księgą pobożną na kolanach.

Twarz jej zwrócona ku drzwiom, wzbudzała na pierwszy rzut oka jakieś uszanowanie, i niemal wciąż przejmowała, tak na niej widocznie wypiętnowały się lata świętobliwie spędzonego żywota. Błada, pomarańczowa, zwiędła, a jednak zachowująca jeszcze ślady piękności w kształtnym, kościstym nosie, drobnych ustach i oprawie oczów, pełna była wyrazu łagodności, rezygnacji, dobroci anielskiej.

Nigdy może starość z pięknej twarzy kobiecej, piękniejszej nie utworzyła ruiny; Obok lic jaśniejących młodością i wdziękiem, to oblicze zbladłe i smutne, jeszcze by było zwróciło oko i zmusiło przed sobą uchylić głowę. Uśmieszek jakiś niemal dziecięcy, tak był

szczerzy i wesoly — igrał na ustach staruszki, która się w bok wzięła spoglądając na wchodzącego Sienińskiego.

— A co Sienińsiu, waść taki do mnie! ha! nie zapomniałeś o starej. Oj, pochlebca z ciebie, pochlebca, dworak! czy to niema już tam co robić, żeś się do mnie przywłókl? Dwór się tam słyszę do góry nogami przewraca! Żeby go jeszcze uchowaj Boże temi illuminacjami nie podpalili!

— Juściż, taki pałacu by spalić nie powinni, trochę obojętnie rzekł Sieniński — alem ja ich porzucił, niech sobie sami dają rady kochane Francuzy. JW. podczaszyna kazała mi się niepokazywać i z kąta tylko pilnować porządku, poszedłem też precz... Dziś tu u nas wszystko do kuchcika francuzkie, niema co nam robić.

— Czy już podczaszyna pojechała? spytała staruszka.

— Już, tylko co się to potoczyło; cała aleja w ogniu, ludzi killkuset z wachlami — dwór pojechał za panią; reszta pań jeszcze nie gotowa... Ale JW. pani ani chce spojrzeć, a to dalibóg śliczny widok choć ślicznie i kosztuje.

— Daj mi tam waszec święty pokój z temi widokami, moje oczy dosyć ich już widziały na świecie, wkrótce da miłosierny Bóg jaśniejszą nad te wszystkie światłości oglądać. Co mi tam mój Sienińsiu wasze fajerwerki i illuminacje, głupstwo to kochanku. — A mójże Michaś pojechał? zapytała troskliwie.

— JW. podczaszyc siadł z panią.

— Ażeby mi go tylko gdzie nie zaziębiła fertycząc się tam, bo to takie nieuważne i matka i on — a cóż na siebie wziął, nie widziałeś tam waszec?

— Sobolową szubę karmazynową JW. pani, nie zmarznie w niej, boć i karetą pojechali.

— Oj, nie uwierzysz bo, mój Sieniński, jakie to delikatne, tak mi go nieboraka po babsku wychowali, niech im to Bóg niepamięta!

Oboje westchnęli.

— Szalawiła chłopczysko, głowa mu się pali, nawet dziś do mnie na minutę nie przybiegł — dodała staruszka patrząc w ziemię, dobrze mu za to uszy natrę, boć należało, należało...

— Już co temu, to jak Boga kocham, gorąco przerwał stary, nie winien on JW. pani, nie winien. JW. podczaszyna nie puściła go ani na minutę od siebie. Sądny dzień w pałacu. — Wszyscy wiele tego jest, i nas, i tej chałustry, nie mogli wystarczyć... nawet ten Labuś — tu się w język ukąsił Sieniński żeby mu nie dać jakiegoś przydomku — latał, z pozwoleniem, jak kot z pęcherzem. No! jest bo co robić! Zachciało się króla IMci przyjmować, niechajże skosztują *raritys*.

Staruszka ruszyła ramionami.

— Co mi to za król! co mi to za król! szepnęła jakby sama do siebie; oj mnie mości Sieniński co jeszcze pamiętam jak przez sen prawdziwego króla Jana III., już to na tego niemczyka i patrzeć się nie chce. I tamciż byli Niemcy, co po Janie panowali; także to byli jakieś przybłędy, co po koronę za jałmużną do nas przyszli, i spasali się na naszym chlebie Bóg wie za co, ale i ten, choć to niby swój — pożał się Boże! Dawnoż to ekonomowało na Litwie. — ??

Sieniński choć bardzo z natury cierpliwy i chętnie milczący, zdawał się nieco jednak zgorszony tem wystąpieniem staruszki, ale zamilkł.

— Już to nie śmiejąc kontrować — odezwał się namyśliwszy — jaki on tam jest to jest, a takiż to koronowana głowa i pomazaniec Pański.

— A! temu się nie przeczy, przerwała jejmość; korony mu z głowy nie zdejmuję, niech go Bóg błogosławi — ale to nie Sobieski mosanie, oj nie Jan III. mospaneńku!

— Wiadomo, JW. pani, wiadomo!!

— Może on tam i dobry sobie i im, dodała stara, im takiego właśnie niemczyka czy francuzika było potrzeba — niechże się nim cieszą.

— To taki JW. pani nie będzie miała nawet ciekawości go widzieć?

— A dajże mi tam waszec z nim pokój, wszakiem ci mówiła, że mi czas do zobaczenia innego majestatu się sposobić, nie z tą młodzieżą się trzpiotać. Rada bym tylko żeby mi Michasia nie zaziębili... oj, i nie zbałamucili! dodała z westchnieniem modlitwy.

Stary Sieniński, który rad słowa zastępował czemkolwiek, westchnął także.

— Dobre to chłopię, pocziwy dzieciuch — mówiła dalej — w pół do siebie staruszka — ale tak go psują, że ani sposobu uchronić.

— Już co to, to prawda! Boże miły, wiele i mnie to leż kosztuje — rzekł stary — ale niema sposobu, francuzi tu królują i na francuza wystrychną.

— Żeby mu choć głowy nie obalamucili, a serca nie zepsuli — bo serce ma złote!

— Kubek w kubek, kroplą w kroplę, nieboszczyk pan podczaszy!

— Biedaczysko! westchnęła babka — i łza srebrzysta, rychło rękawem otarta, po zeschłej stoczyła się twarzy.

Wśród tej rozmowy, pan Sieniński usłyszawszy skrzypienie pierwszych drzwi, jakby przecuciem niepokoją się obejrzał.

— O ho! rzekł — to już ktoś pewnie przyszedł po moją duszę.

W tem, głowa dziewczynki ukazała się w przedpokoju.

— No, a co tam? spytała staruszka.

— Marszałka proszą.

— A co? nie mówiłem, dobrej nocy życzę JW. pani! do nóg upadam!

— Dobranoc ci mój kochany, dobranoc — choć ty podobno tej nocy nie bardzo będziesz spał.

— Panie marszałku! poczał nagiąć głos z przedpokoju. — Labe prosi — Labe... bardzo pilno...

— Ależ idę idę! wysuwając się z westchnieniem rzekł — stary. Labe siud — Labe tud — a niema jemu końca! nie mogliby się obejść i kwadransa bezemnie. Już tam jakaś bieda z tą frygą mnie czeka! Skaranie Boże! skaranie Boże!

— Prędeż panie marszałku! zawołał nadbiegając ktoś drugi — Labe się niecierpliwi!!

— To niechże do krośset... chciał już klnąć Sieniński, ale się wstrzymał i dodał:

A nie może poczekać? Jużciż konno ze wschodów nie zjadę, żeby do niego pospieszyć, ani karku sobie dla niego nie nadkręcę?

III

Gdy tak w pałacu reszta przygotowań na przyjęcie królewskie się dopełnia, z pośpiechem, który najczęściej opóźnia wszystko zamiast ułatwić cokolwiek, gdy Labe Poinsoł głowę traci wśród polskich sług, z którymi tylko na migi rozmówić się może, powozy podczaszynej suną się aleją lipową, ku oświeconej na przeciw pałacu, na wielkim gościńcu stojącej austerji, widocznie na dzień uroczysty wyświeżonej. Gmach ten, który zwykle stał dosyć odrapaną pustką i frontem tylko nieco okazańszym miał obowiązek zamykać długą ulicę, teraz odnowiony, wymalowany, wyluminowany, zajmowały tłumy szlachty sąsiedniej, oczekującej na Najjaśniejszego Pana, kilku orderowych, na których czele wojewoda, gromady wiosek z chorągwiemi, chlebem i solą, żydzi z miasteczka blizkiego kahałem całym z rabinem, baldachimem, półmiskiem pokrytym pąsowym adamaszkiem, na którym tort z cyfrą S. A. R. pysznie się bielił — i mnóstwo ciekawych różnego stanu ludzi. Już od południa niemal wszyscy w pogotowiu stoją, głodni, zziębli, a niespokojni wysyłają na zwiady, czy kogo nie widać od strony Warszawy — a nie widać nikogo.

Ale zyskali na tem, że się tak przyjazd opóźnił, bo ten różnobarwny tłum, nigdy się lepiej wydawać nie mógł, jak teraz przy pochodniach nocnych. Panowie szlachta w najbogatszych swych strojach, konno, na dzielnych turczynach, źrebcach własnego stada, na kulbakach pozłocistych i rzędach wysadzanych, w kontuszach i żupanach z lamy i wschodnich materyj, u boku szable kameryzowane, na głowach kołpaki sobole, pióra czaple, kity strusie, spinki połyskujące. Niektórzy kobiercami perskiemi pookrywali dżianety, poupinali na głowach końskich czuby ze staroświecka i pęki piór nawet przy ogonach końskich posadzali; drudzy pofarbowali starą modą grzywy i ogony białym rumakom na pąsowo. Za panami których kupka łśni się od złota i drogich kamieni, świeci się barwy najświeższemi, niemniej wspaniała ciżba pacholków w strojach z węgierska, z kozacka, z janczarska i od fantazji; a wszyscy szumnie i bogato za katy.

Tuż i karetą pana wojewody i jego hajducy a służba; opodał szare i bure stanęły w odświętnych świtach gromady wiosek milczące i zamyślone; znowu w innej stronie ścisnęli się żydzi w atlasowych i alepinowych żupanach, lisich szubach i sobolich czapkach, nieśmiejąc ich na głowę włożyć, wobec karety pana wojewody, choć była próżną. Wszyscy

czekając patrzą, wdychają, a niektórzy już i klną sobie po cichu, jak komu do humoru. Wysłano dziesięciu posłańców z rozkazem, żeby jak tylko ukaże się kalwakata królewska, dawali znać cwałem, bo szlachta chciała na dalszym trochę wzgórzu, u granicy województwa, powitać monarchę. Ale posłanych ani widać ani słysząc. Nadjeżdżające karety i dwór podczaszynej, przerwały jednostajność oczekiwania; rozstąpiła się szlachta, wojewoda który się grzał w izbie u komina, głowę przez okno wysadził, jakaś otucha wstąpiła w serca wszystkich.

— No, rzekł ktoś, kiedy pani podczaszyzna przybyła, to nie bez racji, już i Najjaśniejszy musi być niedaleko.

Ależ bo zimno było czekać doprawdy, a mróz pod wieczór trochę sobie za nadto pozwalał, jak na mróz marcowy.

— Cóż tam słyhać panie cześniku? odezwała się, ostrożnie taflę u karety podnosząc podczaszyzna, do najbliższej stojącego na koniu, wąsatego i rumianego pana Styryjki.

— JW. pani, wiatery po uszach dźga, więcej nic.

— A król Jegomość?

— Król daleko JW. pani — Bóg wysoko! a mróz szeroko i głęboko.

— Cześnik zawsze żartuje.

— Zwłaszcza kiedy zimno, odparł raźnie Styryjko, bo czemużby się człowiek rozgrzewał jeśli nie dobrą myślą? I cześnik pokręcił ogromnego obmarzłego wąsa.

— Ale bez żartu, cześniku, N. pan miał być u nas w Głuszy na godzinę czwartą! czy uchoj Boże w drodze nie trafiło się jakie nieszczęście? spytała cieniuchnym głosem podczaszyzna przymrużając oczki.

— Najjaśniejszego pana poddani wszędzie widać tak miłują jak my, i nie łatwo mu się wyrwać. Bogiem a prawdą, zmówiłem już trzy Zdrowaś na tę intencję, żeby nas przybycie Najjaśniejszego koronata spuściło z tej niewygodnej warty na mrozie, ale coś nie skutkuje!

— Gdzież pan wojewoda?

— Dobrze sobie poradził, rzekł cześnik, grzeje się u komina w izbie karczemnej, czekając języka. Możeby i JW. pani nie zawadziło wejść i trochę się rozgrzać.

— Ale coż to jest? spoglądając na maleńki kameryzowany zegareczek, powtórzyła podczaszyzna, już szósta a tak się ciemni!

Cześnik tylko westchnął.

— I mróz coraz to gorzej — dodał — a tu z konia zsiść niepodobna — nuż dadzą znać, mógłbym gramoląc się po staremu chybić N. Pana. Zmówię jeszcze trzy pacierze do Ś. Antoniego; patrona rzeczy zgubionych.

Ledwie to wyrzekł, gdy siwy wysokiej i pięknej postawy mężczyzna, w wielkiej delii niedźwiedziej wysunawszy się z austerji, przybliżył się do powozu. Był to pan wojewoda, ale nie z owych to wojewodów, których pradziadami byli cnych owych rycerzy dwunastu, tak dzielnie narysowanych w kronice Miechowity i Bielskiego; — tamtych potomkowie spoczywali gdzieś pod marmurowymi trumienami, po fundowanych przez się klasztorach i opactwach. Ten nowego autoramentu wojewoda, z nazwiska nie krajowiec, z miny nie wojak, wypudrowany i wystrojony po wersalsku, choć poddeptany a udający młodzika, pachnący, grzeczniuchny, delikatny, nie wiem coby był począł, gdyby mu doprawdy przyszło ze szlachtą swoją ciągnąć na wojnę przeciw poganinowi.

Już zdaleka uśmiechał on się do podczaszynej, jako stały wielbiciel jej wdzięków, i zaraz rozpoczął francuzką z nią rozmowę, przez w pół otwarte okno karety.

Cześnik Styryjko wąsa kręcił w prawo i lewo, przysłuchując się tej paplaninie, której niewiele rozumiał, a tem więcej nie lubił.

— Mosanie Jędrzeju, rzekł wreszcie zniecierpliwiony z cicha do sąsiada o strzemię, który zawinięty w wilczurę zębami kłapał, coraz to wypuszczając nogi ze strzemion i w futrze je podjąwszy zagrzewając — niema co robić, ucmy się taki po francuzku!

— Co waść pleciesz mości cześniku! Wmości bo zawsze żarty się trzymają!!

— Ba! to nie żart! ze wszystkiego widać, że taki na przyszłym sejmie wypadnie uchwała, aby wszystka szlachta inaczej jak po francuzku mówić się nie poważyła. — I jest racja!

— Ależ mróz! co za racja?

— Dalej widzisz waszeć, senatorowie szlachty nie będą rozumieć, a że rycerstwo taki zawsze młodszy bracia, będą się musieli starszym akomodować. Słyszę jak pan wojewoda

o tem właśnie naradza się z naszą podczaszyną. Otośmy wpadli w łapkę panie Jędrzeju, pójdziemy na starość do szkół pod ferułę Francuzów.

— Czy waść w nogi nie marzniesz? zapytał pan Jędrzej.

— Alboż co? ja nie.

— Jakimże sposobem ja, choć buty mam wyporkami podszyte, kostnieję po kolana! zapytał szlachcic.

— Wszystkiemu temu winno, że waść po francuzku nie umiesz, odpowiedział cześnik serjo; gdybyś *parle franse* umiał, poszedłbyś z wojewodą, podczaszyną i tą laleczką podczaszycem, grzać się w austerji przy kominie.

Kareta podczaszyny już była podjechała pod wrota austerji i pani wysiąść miała na zaproszenie wojewody, gdy gościńcem dał się słyszeć tentent konia puszczonego czwałem. Oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę, a głos jakiś zawołał:

— Król jedzie! Król jedzie!

Nie jechał jednak nikt jeno posłaniec, kozak wojewodziński, który dopadłszy do karety pańskiej zakrzyknął:

— Król już o ćwierć mili.

Rozruch się stał wielki. — Szlachta poczęła się szykować i naradzać głośno, reszta zgromadzonych przybliżyć ku karczmie, wojewoda wskoczył do swojej karety, a podczaszyna postanowiła pozostać przy austerji, oczekując zbliżenia Najjaśniejszego Pana.

— Panowie bracia! przez okno powozu wychylając upudrowaną głowę, zawołał złą dosyć polszczyzną wojewoda — jedziemy wszyscy na spotkanie.

— Jedziemy! Jedziemy! *virtim*, odpowiedziano gęsto, i tęgim wyciągnionym klusem, cześnik na przedzie na bułanku, popędzili wszyscy w ścieśnionej kolumnie, niezważając na noc i grudę; przed niemi kilku kozaków z kagańcami bliższym przyświecali, dalsi omackiem i sprytem koni bili się za pierwszymi jak mogli. — W drodze już napotkano pułkownika Słomińskiego, który wszędzie króla poprzedzał i konie dla niego zagotowywał. Spytano go jak daleko jeszcze król? niedosłyszano odpowiedzi, i konni z kareta wojewody posunęli się dalej.

Pułkownik przybył tymczasem do austerji, a podczaszyna choć go nie znała, natychmiast synowi poleciła przywitać, a jednemu do pałacu prowadzić.

— Król daleko? panie pułkowniku, zapytał młody Alfier.

— O ćwierć mili.

— Cóż go tak opóźnić mogło?

— Złamaliśmy koło u karety w której jedzie król JMość z księdzem biskupem Smoleńskim, potrzeba było naprawiać.

— Możeby można podesłać powozy?

— Nie! nie! wszystko się szybko ułatwiło, Najjaśn. Pan już się zbliża!

Te słowa, które doszły uszy podczaszyny, widać było, że na niej uczyniły wielkie wrażenie; serce zabiło żywo, oczy zabłyśły, niespokojna spojrzała w tafle karety szukając w niej zwierciadła, chcąc go spytać, czy przeszłość powrócić może, poprawiła suknie i westchnęła.

Tymczasem cisza znowu do koła, chłopci tylko spoglądali to na cugi swej pani, to na żydów, z których się po trosze śmieli, nie wyjmując nawet rabina, a Izraelici stchórzywszy kompletnie, z baldachymem i tortem zdawali się mieć ochotę ukryć się w krzaki. Na gościńcu w dali migwały blaski kozacych kagańców, a że droga szła ciągle pod wysoką dosyć górę, światła zdawały się unosić w powietrze, a jadący za niemi szlachta, jak orszak duchów w obłokach migali. Ciemna noc otaczała wszystko, szparki ostrego wiatru zadymały ze wschodu, oczy podczaszyny nieruchomie wlepione w stronę z której się przybycia króla spodziewały, machinalnie poglądały gdzieś w dal, — myśl była gdzieindziej, w czarnej czy jasnej, ale żywo pamiętnej przeszłości.

Kagańce wciąż unosiły się wyżej, drobniały, i już tylko migwały jak gwiazdki maleńkie, aż z przeciwnej strony zabłyśły światełka inne, razem zastanowiły się wszystkie... Wiatr przyniósł długi okrzyk, i kilka wystrzałów smugami czerwonawemi przerznęły ciemności. Widocznie musiały się tam na górze zatrzymać powozy, bo światła im towarzyszące nieruchomie płonęły w miejscu, podczaszyna oczów z tego nie zwróciła widoku.

— Mój Boże! mój Boże! — mówiła tęskno w duchu do siebie — dwanaście lat! dwanaście lat! a tam tak się zapomina pędko! Starościna Opecka, kasztelanka mazowiecka,

wojewódzicowa mściławska, i tyle innych, tyle, musiał zapomnieć — kto wie czy mnie przypomni?

— Co oni tam robią na górze? — dodała głośno, zaczynając się niecierpliwić — nieznośny ten gbur cześnik prawi pewnie oracją bez sensu i końca. Czemuż biskup nie przerwie? czemu już nie jadą?

Nie postrzegła się, jak sześć karet nowych w tej chwili zastanowiły się przy jej powozie przed austerją — były to panie z sąsiedztwa, już od dawna zgromadzone i ubierające się w pałacu, które po długiej toalecie dopiero w ostatniej chwili nadjechały, razem z pod czaszyną króla powitać. Szczebiotanie tych po większej części młodych i świeżych kobiet, które się nagle ukazały do koła z okien karecianych, przerwało dumanie pod czaszynie.

— A król? a król? — ozwały się zewsząd przybyłe — *Madame! Comtesse! et le Roi?*

Te uparte dopytywania o króla z ust świeżutkich, przykro zabrzmiały w uszach gospodyni, zdawało jej się, że wszystkie te twarzyczki, wcześniej uzbroiły się w słodziuchne słowa i uśmiechy, aby jej wydrzeć spójrzenie króla, aby go od niej odciągnąć.

— *Que sais-je?* — odpowiedziała niedbale, chowając się w głąb powozu swego.

I smutek osiadł na jej skroni, spuściła głowę.

— O jak one wszystkie brzydko, bezwstydnie zalotne — zawołała w duszy — dla tego że to król, każdaby rada go sobie pociągnąć. Myślą tylko jakby go usidlić, jakby kupić sobie tytuł kochanki, a kto wie jakie tytuły mężom! O to szkaradne! szkaradne, *eela souleve le coeur*.

Właśnie w chwili tego cnotliwego oburzenia, światła na dalekiej górze poruszać się zaczęły, nowy okrzyk wiatr przyniósł i pod czaszyna przejęta mimowolnie wykrzyknęła:

— A! król jedzie! król jedzie!

Co się tam działo w karetach, opisywać nie będziemy, ale to pewna, że wszystkie panie jęły stroje poprawiać i oczyma, braknących na nieszczęście szukać zwierciadeł, młodsze drżały, starsze były zadumane, poważne matrony wzdychały.

Gromady wiejskie ustanowiły się zaraz pod przewodnictwem sołtysów z obu stron wjazdu do alei wiodącej ku domowi, naprzód wystąpili starzy poważni gospodarze z chlebami, żydowski kahał zawsze z baldachymem, korzystając z zajęcia tego stanowiska przez wieśniaków, wysunął się przed nich, z wyraźnym zamiarem wzięcia kroku przed kmieciami.

Szmer dał się słyszeć w ciżbie, kilka podniosło się głosów, poczęto traktować, gdy w tem o staję już zagorzały światła, zatętniał gościniec i powozy królewskie szeregiem idące, ukazały się na gościńcu. Żydzi utrzymali się przy zdobytym fortelem placu, pod czaszyna i syn jej wyskoczyli z karety na podeślane im niedźwiedzie, przez hajduków rzucone.

— Król! Król! — wołali już wszyscy.

Jakoż na ten raz nie omyliły się wykrzyki, i Najjaśniejszy Pan w istocie zbliżył się jadąc w karecie z księdzem biskupem Smoleńskim.

IV

Poprzedzali go w mniejszym powozie generał Komarzewski z adjutantem J. kr. Mości panem Arnoldem Byszewskim, owym to sławnym handlarzem koni, co się potrafił dobić z małego sługi największych łask i zaszczytów; potem jechał książę Józef karetą króla, dalej podkomorzy Brański z drugim adjutantem i długi szereg powozów — dwór, przybocznych, kancelarją, garderobę i sługi w sobie mieszczących. Orszakowi towarzyszyła szlachta konno, oddział wojewodzińskiej dworskiej milicji, kilku wyższych urzędników ziemskich i liczne poczty panów, którzy od województwa do województwa króla przeprowadzali i otaczali.

Stanisław-August, przywykły już do podobnych po drodze swej atencji, bo go te spotykały kilka razy co dzień, zobaczywszy światła, iluminacją, karety pań i stojącą na drodze całą linią wystrojonych kobiet, rozkazał zatrzymać się powozom. A choć mu się nie bardzo wysiadać chciało, pełen zawsze galanterji dla płci pięknej, wysiadł z ks. biskupem Smoleńskim naprzeciw pod czaszynie, i uprzedzając kilku słowy francuskiemi, nadzwyczaj uprzejmie ją pozdrowił.

Na twarzy podczaszyniej znać było wielkie wzruszenie, podobne do silnego i prawdziwego uczucia — niespokojnie zwróciła oczy na króla wśród komplementu francuskiego, którym go także witała, i drżącą ręką wskazała na syna, przyklękającego do ucałowania podanej łaskawie ręki królewskiej.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się — jest to potomek rodziny, która zawsze służyła wiernie tronowi W kr. Mości, pragnący także krew swą przelać, by dowieść że się od niej nie odrodził.

— Dzięki Bogu — z uśmiechem odparł Stanisław-August, przypatrując się z zajęciem pięknemu młodzieńcowi, który cały zarumieniony z ziemi powstawał — nie żyjemy w czasach, w którychby ofiary krwawe były potrzebne. Syn pani niech mi tylko obyczajem przodków da serce swe, a innej ofiary, da Bóg nie będę wyciągał od niego.

— To serce miałeś już i masz, Najjaśniejszy Panie! bo wszystkie twych poddanych do ciebie należą! — rzesko i przytomnie odezwał się Alfier.

Król łagodnie się na to oświadczenie uśmiechnął poglądając na matkę i syna, a że wypadło mu widać powiedzieć jeszcze jeden komplement, dodał z cicha.

— Mój Boże! któżby to powiedział, że takiego już pani masz syna! zaledwie zdaje się jej bratem.

Żywszy rumieniec oblał lice podczaszyniej, ale w tem wojewoda, który marzył we fraczku materjalnym, przypomniał że i Najjaśniejszemu panu chłodno być mogło.

— Racz Wasza królewska Mość przyjąć ubogą gościnię w domu, który cały ci jest oddanym — odezwała się podczaszyna.

— Wdzięchen jestem mojej drodze, że mnie tu przywiódła! — grzecznie rzekł Stanisław August. — Kochana podczaszyno, prowadź-że mnie i nie ziębnij.

— Król tych słów domawiał gdy z baldachymem i rabinem siwym na czele przysunęli się żydzi, niosąc tort i domagając się przystępu.

Biskup Naruszewicz chciał ich zbyć żarciem, ale to nie tak łatwo z żydami, którzy niechcąc zrozumieć udają że nie rozumieją; rabin miał pretensją do retoryki, i wielkim rozpoczął głosem:

— Najjaśniejszy Panie!

— Kochany rabbi — rzekł biskup — żadna mowa przyjemniejszą być nie może Jego królewskiej Mości Panu naszemu najmiłościwшему, nad ciepłą izbę...

Rabbi niedosłyszawszy przyjął to za komplement, uklonił się tylko, zastąpił drogę i rozpoczął powtórnie:

— Najjaśniejszy Panie! Jako powiedziano jest w Piśmie świętem i prorokach...

— Powiedziano, powiedziano — przerwał biskup donośnie — nie będziesz nudził pana twego — dajcie tort i pozwólcie się pożegnać.

Rabbi jeszcze nie zrozumiał i rozpoczął po raz trzeci:

— Tyś jest ten w którego oczy wlepił naród izraelski.

— Najjaśniejszy Panie, to nie żarty, uciekajmy bo nas oczyma zjedzą — zawołał biskup — panie rabinie dalszy ciąg odkładamy do przyszłej da Bóg wizyty królewskiej, a tymczasem sesją solwujemy.

Król wsiadł był już do karety, a żydzi chcąc czemkolwiek powetować stratę mowy, którą rabinowi w sposób tak gwałtowny ucięto, zakrzyknęli głosem ogromnym:

„Vivat Najjaśniejszego! Pana naszego Stanisława Augusta.”

Intencja była najlepsza, choć improwizacja niedosyć poprawnie się udała.

Widząc że już król rusza ku pałacowi, pospieszyli i włościanie do karety z chlebem i solą, od których że się mowy nie obawiano, przyjął Najjaśniejszy Pan ofiarowaną bułkę, w skromny obwiniętą ręcznik, podziękował, — i cały szereg powozów na dany znak, dźwignął się oświeconą przepysznie aleją ku pałacowi, który gorzał w dali brylantowemi obsypany światłami.

V

Komuż nie są znane rysy twarzy Stanisława Augusta? Pędzel Bacciarellego, Lampiego, Le Brun'ów i tylu innych malarzy owego czasu, odwzorowywał je niemal co kilka miesięcy, tak że od młodych rysów 1764, do znużonej i smutnej twarzy 1798, wszystkie przemiany tego oblicza zostały na płótnie, na papierze, w marmurze, a u wielu jeszcze żywych,

w wiernej dotychczas pamięci. W kraju i za granicą niemal co roku nowe się ukazywały portrety królewskie, aż do tego pośmiertnego już sztychu, w którym król opromieniony spokojem jakiego w życiu nie doznawał, zdaje się na ziemię z politowaniem poglądać. Dwa zwłaszcza z tych mnogich wizerunków odznaczają się fantazją obmyślenia i wyrazem twarzy, stanowiąc jakby dwie epoki w życiu jego, choć krótki czas je od siebie przedziela. Na jednym, Stanisław siedzący nad stołem, w ręku trzyma klepsydrę, jakby jej pytał czy mu jeszcze wiele pozostało godzin szczęśliwych; twarz zamyśloną iskierka nadziei opromienia, a godło dodane świadczy, że miał otuchę w przyszłości. *Lucebit lumen de Coelo!* Na drugim prawie tak samo siedzący król, ale z klepsydry ostatki godzin zakreślonych losem wyciekły; zdala widać niebo zachmurzone i przez obłoki wyciskający się blady jakiś wymodlony promyk mającego już zagasnąć słońca. Twarz Poniatowskiego pełna smutku, zamyślenia, prawie męztwa wydobytego boleścią; a na karcie przed nim tajemnicze leżą słowa *quaesivit coelo lucem*.

To oblicze było właśnie twarzą, z jaką król jechał teraz w swą podróż. Nie był to młody ów, wesół, swobodny, zalotny, o miłostkach, o sztuce i poezji marzący tylko pan exstolnik, którego niegdy posłowie przybywający zastali z pędem w ręku malującego swą liberją koronacyjną; nie był to ów wielbiciel licznych piękności co dwór jego otaczały, nie amator-artysta, nie literat-poeta, ale dojrzały mężczyzna, na którego licu wypiętnowała się tęsknota zmarnowanego i zakłóconego życia. Pięknej i wspaniałej postawy, wielce szlachejnych i arystokratycznych rysów twarzy, dobrotliwego wyrazu fizjognomji, aż do zbytku może wydający powierzchownością miękkość wrodzoną charakteru, — Poniatowski nosił już we wszystkich rysach królewskiego swego oblicza, jakieś piętno żaloby, które panowanie jego wycisnęło na kraju całym. Znać w nim było człowieka co musiał walczyć, nie będąc do walki stworzony, — cierpieć, nie umiejąc znosić boleści, — milczeć, gdy usta pragnęły się szczyrze otworzyć; człowieka, który nie wierzył w żadną przyszłość i żył do dniową egzystencją, z bojaźnią przewidując, rychło li na piąty akt dramatu, którego był bohaterem, czarna zapadnie zasłona. Zużyty zawczasem ciałem i umysłem, wyczerpany z uczucia i zapału, zimno jakoś, litośnie, czasem niemal szydersko poglądał na świat i ludzi, w których święty jeszcze pałał ogienek. Nawet miłość, to uczucie, co ostatnie drzwi pustego serca zamyka, już było z piersi jego wyszło; pozostały wspomnienia, potrzeba rozrywki, szumu, gwaru i ludzi. Mało kto dziś pojmuje dla czego król naówczas otaczał się w poufalszem swoim pożyciu ludźmi niewielkiej wartości moralnej, dowcipnisiemi, śmiały mi pochlebami co doń językiem tylko a nie sercem mówili, ale to łatwo tłómaczyć się daje tą potrzebą posłusznej zachceni wrzawy, szumu i śmiechu, która na zawołanie powstawała i cichła. Widywano go często u łoża w tajemnej komnacie na kolanach we łzach, ze złożonemi rękoma; on prosił wówczas Boga o wiarę, o trochę życia, o odrobinę jakiegokolwiek nadziei, której sam w sobie wyrobić nie mógł; — on modlił się o iskierkę, by nią podsyć resztę martwych dni bez barwy i wdzięku. Lepsza była rozpacz od takiej odrętwiałości, ale i na nią zdobyć się nie mógł. Przed ludźmi, jakby wstydzając się tych ran duszy, król bywał wesół i dowcipny, ale na zimno, z musu, nic go prawdziwie wzruszyć, nic rozdrażnić i pogniewać nie mogło. Resztką władzy i złota stwarzał sobie cuda, przyciągał rozkosze, kupował niespodzianki, cóż kiedy już ani się im dziwić, ani ich użyć nie mógł!

Pomimo starannie skrywanego stanu umysłu i serca, na twarzy jego czytać było łatwo, że go już nic nie obchodziło. Usta mówiły, uśmiechały się formami uczucia, ale wiało z nich pustką; oczy patrzyły szklannym wzrokiem, na czole wzniosłym wisiła nieruchoma chmura jesienna, z której nawet burzy nie można się było spodziewać — niosąca tylko mgły i ciemności. To też wzrok podчасzynej, która od lat dwunastu, od pobytu swego w Warszawie, nie widziała króla, nie znalazł w Poniatowskim ideału, który w jej sercu pozostał.

Było to jeszcze też same co przedtem oblicze, ale jakby blado, niesmiałą ręką artysty narzucone na płótno, a nie ożywione duchem jego; coś na kształt pośmiertnej maski pomalowanej barwami życia.

— Mój Boże! — mówiła do siebie wracając — jakże się odmienił, jak wiele musiał przecierpieć! Czy jego mówić już zapomniały, usta nie umieją się uśmiechać. Na co się rodzic świeżym, wesółym, pięknym, kiedy tak rychło gasną świeżość, wesele i wdzięki.

Ale dajmy dumać podчасzynej, a spójrzjmy na resztę królewskiego dworu.

Książę Józef, synowiec królewski, był naówczas jeszcze dwudziesto czteroletnim młodzieńcem, w którego pięknych pełnych życia rysach, rozlewała się energiczna dusza. Stracił on później nieco tej potęgi młodzieńczej, gnuśnie czas jakiś niewieściejąc, dopóki znów nieszczęśliwe wypadki powołujące do czynu, nie dały mu oręża w dłoń, nie wlały ognia w duszę. W tej chwili był to młody, w całym znaczeniu wyrazu młody książę — życie mu się śmiało, wabiły kobiety, szumiała w koło hulanka, tyle miał przed sobą nadziei, tyle nieszczęść do spróbowania i przebycia. Wszystkie panie których był ulubieńcem, unosiły się nad jego pięknnością, zupełnie w smaku wieku; a kiedy z Potocką tańczył, tłumy się zbiegały patrzeć i poklaskiwać idealnie nadobnej parze. Mamy jego portrety z tamtych czasów przez John'a i Pichler'a: twarz na nich ładna, więcej niż piękna, sympatyczna, miła i pełna wyrazu słodczy. Z dworzan otaczających o których kilka słów tylko powiemy, na pierwszym planie, nieodstępny króla towarzysz i niewyczerpany pochlebca, stał książę biskup Naruszewicz, exjezuita, exnauczyciel w Wilnie i Warszawie, exproboszcz Niemeńczyński — z lirą zawsze strojną do ody na cześć Najjaśniejszego, z usty gotowemi do dowcipnego żarciku, historjograf pańskiej podróży, pocieszyciel w chwilach tęsknoty, prałat zresztą niepospolitych darów umysłu i serca, trochę idący za wiekiem w którym żył, rad natrzęsający się ze swojej i mniszej sukni, nie unikający tłustego dwuznacznika w rozmowie ani hulackiego towarzystwa, i częściej podobno mający do czynienia z Horacjuszem niż z brewiarzem, z Tacytem niż z Ewangelią. Twarz jego, którą uszlachetniały nieco ubiór i w tył zarzucone włosy, nie miała rysów starszylacheckich, choć rodzina Naruszewiczów należała z dawna do najpierwszych w Litwie i z najdostojniejszych była skoligacona — typ to był dość pospolity, starty, nie piękny, ale dwoje oczu dowcipnych i usta pełne myśli, ożywiały go i wyrazem zastępowały, co w rysach zabrakło. W obejściu, nadała mu dworszczyzna powagę i pokorę, której się tu nauczyć, codzienną miał zrzeczność.

Postać generała Komarzewskiego, który niedawno tyle miał kłopotu z procesem gorszącym awanturnicy Diugrumowej, człowieka nieznanego pochodzenia i początków, niczem się krom wielkiej rezolucyjności, śmiałości i dobrego tonu nie odznaczała. Zimna krew człowieka co bywał nie raz na wozie i pod wozem (a raczej na stole i pod stołem po nie jednej hulance), wielkie panowanie nad sobą, pewien rodzaj cynizmu dobrego towarzystwa, który był cechą czasową owej tężyzny Stanisławowskiej — nadawały mu właściwą fizjognomię po której łatwo poznać było ulubieńca.

Arnold Byszewski, niegdyś jak plotkarze mówili po cichu, pokojowiec u pana Cywińskiego, ognistszy był, żywszy, swobodniejszy, bo mu na głowie nie ciążyła polityka. Miarą jego charakteru mogła być owa awantura po pojedynku Branickiego z Casanową, która swego czasu tyle wrzawy narobiła w Warszawie, gdy Byszewski mścił się chcąc na winnym, o mało wszystkich nie pokaleczył w Warszawie znajdujących się włochów.

Podkomorzy Brański, wychowaniec wieku, najwierniejszy obyczajów jego reprezentant, rozpasany hulaka, karciarz i niepohamowany rozpustnik, przy wdzięcznej bardzo powierzchowności, zgniły był wewnątrz i zepsuty do niewypowiedzenia: jedno jeszcze uczucie honoru tlało na tych ruinach cnót wszystkich, wszystkich narodowych przymiotów, spalonych na ofiarę ciała i sprawom jego. Młody, a już całkowicie zużyty w namiętnej grze, której szau nigdy powściągnąć nie umiał, szukał jeszcze jakiegoś gorączkowego zajęcia; trafiło mu się nieraz do szeląga i do ostatniego zgrać pierścionka, postawić na kartę powóz którym przyjechał, konie, ludzi i wyjść z szulerskiej jaskini gołemu jak święty turecki. Naówczas przyjaciele liczni i familja, która do niego była bardzo przywiązana, a którym odpłacał tylko tem, że się do niej w zrospaczonych razach udawał, ratowała go czem i jak mogła. Podkomorzy na jakiś czas gry się wyprzysięgał, a w tydzień najdalej siedział znowu za zielonym stołem.

Nie będziemy się zresztą rozciągać nad obrazem królewskiego dworu, który dość był liczny i pozornie świetny. Nie było widać ani jednej twarzy coby powagą, wielkością, heroizmem jaśniała na wyżynie czasów i okoliczności. Król musiał się otaczać pochlebcami, bo w niczyje rady nie wierzył, a ludzi łatwych do codziennego potrzebował życia, jak do strawności po obiedzie śliwki, które mu regularnie przynoszono. Cisnęli się i zagraniczni awanturnicy i domorośli adulatorowie, niemyślący wcale jak się ta hulanka skończyć może, gdy kapelli stróny się porwą i ręce zmartwieją. — Aby dzień do wieczora! to było hasłem wszystkich co króla otaczali, a byle kto co zarwał jakkolwiek, pochwylił i cieszył

się zdobyczą. Po za dworem króla byli wszyscy ludzie z wiarą, z myślą, uczuciem głębokiem, z nadzieją niepokonaną i zapałem nieostudzonym, a jedna twarz taka warzyła i mroziła swoim ukazaniem się najweselszą biesiadę *pieczeniarzy*. — To nazwanie już naówczas poczynało być stosowane do wszystkich poufanych adherentów królewskich, chociaż później dopiero głośnie się stało, gdy przeciwnicy ich przybrali na sejmie imię *patryjotów*. Nie można też było w istocie dobrać lepszego nazwiska dla ówczesnego królewskiego dworu.

Były tam umysły bogato obdarzone, ludzie z wielkim dowcipem; z nauką, poeci, artyści, ale całej tej ciżbie brakło tego co i naukę i talent i dowcip i poezją uszlachetnia, podnosi, uczacnia — brakło charakteru i powagi. Wszyscy tam życie ludzkie, sprawy kraju, cnotę i wiarę, obracać byli przywykli w żart nieustanny, w krotoczwilę zabawiającą, i nie było rzeczy z którejby ktoś nie skorzystał dla popisania się z dowcipem.

Dowcip poplacał nad wszystko, to też wyrazem całej owej literatury najenergiczniejszym dziś, zostały satyra, paszkwil i epigramma.

Jeśli na chwilę zmuszono ich brać co na serjo, łacniej się pogniewali niż oburzyli, zniecierpliwili raczej niż zaboileli. Wśród takiej atmosfery miłem być mogło życie dla tych, co nigdy nie spojrzeli wyżej nad siebie i głębiej w serce swoje; miło być mogło spędzić z nimi wieczór, bo towarzystwo to odznaczało się najwykwintniejszym tonem i polem europejskim aż do przesady wytwornym, — ale nazajutrz po pijanych uściskach, wyśmiano by tego coby się dopominał o dowody zaprzysiężonej wczoraj przy kieliszku przyjaźni. Zdrady miłosne, plotki złośliwe ubrane, wyśmiewania zaoczne, nie liczyły się tu nawet, tak były pospolitą strawą; śmiano się z nich, bawiono nimi chwilę i zapomniano dla nowych. Część niewieścia dworu nie była lepszą niestety! kto wie czy gorszą nie była? Nigdy może rozwolnienie obyczajów, a raczej zupełna obojętność na wszelkie *decorum*, na obowiązki i cnotę, nie doszły do tak wysokiego stopnia. Mężowie mieli sobie za punkt honoru dozwalać żonom, *à la française*, najnieograniczeńszej swobody, wstydząc się zarówno przywiązania i zazdrości; liczyli tylko kochanków pań swoich, jak się obrachowywa ziewając belki pułapu; panie też mieniały ich jak suknie, rzucały jak rękawiczki, brały jak się bierze wstążki lub koronki, gdy się podobają w sklepie.

Dla nikogo to nawet nie było tajemnicą, bo całe miasto mówiło nazajutrz o każdym tryumfie i upadku. Rzadko nawet to wywoływało pojedynek, a ten raczej się odbył za aktorkę lub nieznaną jaką dziewczynę, niżeli za żonę. Rozwody wreszcie nie zwracały oczów ani uwagi niczyjej, bo w owym czasie biorąc rozwód kobieta, uważała się jeszcze za skrupulatkę, gdy i bez niego mogła żyć sobie z kim chciała. Zły przykład z góry, te obyczaje krzewił i rozpowszechniał; od króla poszło zgorzenie do panów, od panów przeszło do zamożniejszej szlachty, do mieszczan wielkich miast, obiecując jak wszelka zgnilizna rozszerzać się coraz dalej a dalej.

Niech nikt nie sądzi, byśmy tu czarnemi przesadzali barwami. Współcześni pisarze, pozostała korespondencja, aż nadto dowodnie świadczą że tak było. Szał dochodził do najwyższego stopnia, jak w owym Rzymie cesarów, co chyląc się do upadku, koniom oddawał cześć boską, a z kazirodztwa i nierządu szukał chluby po ulicach... Ale tamto było rozbestwienie zwierzęce, przy swej szkaradzie coś olbrzymiego mające; tu chłodna pokrywka wykwiutnego poloru, szczególną barwę nadawała temu szaleństwu na zimno, rozpuście bezsilnej, zepsuciu grzecznemu, uśmiechnionemu spokojnie jak cnota, a zastygłemu jak lód. Dziwny to zaprawdę był czas, biedni to ludzie byli, których tak Bóg pokarał zapomnieniem wszystkiego co święte, co wielkie i piękne: miotali się nieszczęśliwi w nieustannym wysiłku, chcąc pochwycić roskosz, która z przed ust ich uciekała, lub jak owoc z nad martwego morza, rozsypywała się w proch i zgniliznę; uśmiechały się usta, a wewnątrz duszy padały łzy gorące, których powieki zaschły wyrzucić z siebie nie mogły.

VI

W ganku pałacowym spotkała Najjaśniejszego pana gospodyni na czele wszystkich dam, części szlachty która pospieszyła uprzedzić powozy, urzędników i dostojniejszych sąsiadów. Pałac oblany był blaskami iluminacji, od przedsięnia począwszy zdobyły go i wonią wiosenną napełniały kwiaty, wśród których mitologiczne posągi, prześliczne w białych,

kształtnych unosiły się grupach. Z jednej strony Amor i Psyche, z drugiej Jupiter z Ganimedesem, wychylały się z zieleni.

Król zastanowił się w progu niebieskiej sali, i czy to że go w istocie piękność jej uderzyła, czy że znów poczuł się obowiązany do komplementu rzekł z uśmiechem pełnym przyzwyczajenia:

— Ale za prawdę, pani tu mieszkasz po królewsku, ten salon nie oszpeciłby stolicy stolic, Paryża!

Podczaszyna uśmiechnęła się zarumieniona, a dworzanie króla, echem przesady, poczuli na wyprzedki wtórować jego pochwałom.

Cały ten orszak złożony z kobiet po większej części pięknych, z mężczyzn młodych lub młodość udających, rozlał się teraz po gmachu, nowe mu dając życie. Tylko szlachta kontuszowa, nie wiedząc dla czego, przez jakieś uczucie odosobnienia, zbiła się w kupkę i odstrychnęła machinalnie od dworu i francuzkiego towarzystwa, trzymając na ustroniu, poglądając tchórzliwie, prawie smutno.

Król jegomość podziwiając piękności salonu, zapragnął obejść pałacowe apartamenta, domyślając się w nich zapewne więcej jeszcze cudów i wdzięków. Gospodyni zdawała się tem niezmiernie uradowaną, i wybrana garstka, poszła za Stanisławem Augustem, który jeśli nie był wesół w duszy, to wybornie odegrywał wesołość, ożywienie, a nawet podbudzoną ciekawość. Cóż miał robić?

Za wielką salą weszli naprzód do mniejszego pokoju, który cały od góry do dołu zawieszony był obrazami najprzedniejszemi włoskiej i flamandzkiej szkoły. Był to nie wielki gabinet, bo z dwóchset płócien małych rozmiarów składający się, ale i po nocy poznać było można, że się nic nie wcisnęło dla zapchania próżnego miejsca. Prawdziwy znawca ze złości dla sztuki dobierał każdy obraz, i z wyboru ich prześlizną, ciekawą utworzył całość.

Stanisław August wielki miłośnik i znawca malarstwa, sam artysta (w chwilach nudy i zmęczenia), z wielkiem zajęciem rzucił okiem po ścianach, i znowu wykrzyknik obił się o uszy uszczęśliwionej gospodyni.

— A to cuda prawdziwie! pani tu masz arcydzieła! Albo się myślę, lub to prawdziwy i przepysznie dochowany Corregio — Corregio jakiego nie mam ani ja, ani nikt w Polsce...!!

— Ten szczęśliwy Corregio czekał tu tylko ażebyś go Najjaśniejszy panie, godnym swej królewskiej galerji osądził! szybko odpowiedziała podczaszyna.

— Będzie to dwojako perła mojego zbioru — rzekł król schylając głowę, jako arcydzieło mistrza i jako z rąk twych pani, pamiątka. A Baciarelli! co też powie Baciarelli, żem w drodze dostał Corregia. Król zastanowił się trochę, jakby chciał przypatrywać się innym obrazom, ale prędko myśl mu odeszła.

— To trzeba by widzieć po dniu, odezwał się zwracając — zbyt wiele ginie piękności, choćby przy takim oświetleniu jakim są piękne twe oczy, kochana podczaszyno — dodał cichutko z uśmiechem galanterji pełnym.

— Najjaśniejszy Panie, odpowiedziała równie cicho gospodyni — oczy te we łzach zagasły, i źle już dziś świecą. Westchnienie które przerwał frazes księdza Naruszewicza, zmienić się musiało w uśmiech.

— Gdybym nie oglądał świeżo, odezwał się biskup zsiniałych nosów i zamarzłych wąsów braci szlachty, myślałbym na Herkulesa, że cudem jakim zabłądziliśmy do Włoch, N. Panie.

— Lub do kraju czarów, dodał Stanisław August postępując naprzód.

Pokój następujący był rodzajem gabinetu różnych osobliwości, któremi się naówczas chętnie panowie i panie zabawiali, bo modą było udawać uczoność i badać naturę, zastępującą nieobecne na nieszczęście świata temu Bogu. Był to rodzaj nabożeństwa modnego w XVIII wieku. Gabinet pani podczaszynie, odznaczał się nietylko istotnem bogactwem osobliwości natury i dobozem machin, ale nader wikwintnem ich urządzeniem.

Szafy, stoły marmurowe, mahoniowe półki, były misternie w piękną ustrojone całość. Kamienie szlifowane świeciły z za szklanych pudeł, w których systematycznie ułożone były! Piękny dobór muszli, kollekcja motylów, wypchane ptaki i zwierzęta, najświeższego wynalazku maszyny fizyczne do różnych doświadczeń, zalegały każdy kątek, tak ich tu było pełno.

— A tu znów co innego! z cudów w cuda nas pani prowadzisz! a czegoż tu nie ma! rzekł N. Pan.

— To drobnostka N. Panie, odpowiedziała dumniejąc jednak pochwałami podczaszyna — nie byłabym śmiała pokazywać tego gabinetu naukowego mego syna, gdyby przezeń dalej nie prowadziła droga. Na wsi wychowując dziecię, obejść się bez tego nie było można.

— Ależ i pół tuzina nauczycieli, musiałaś pani razem z temi osobliwościami sprowadzić, dla ich eksplikacji — dodał Stanisław August.

— Szczęściem, odpowiedziała szybko, szukając kogoś oczyma pani domu — trafił mi się nieoceniony człowiek, co stu innych zastąpić potrafi, jedyny w swoim rodzaju, bo powiedzieć mogę, umiejący doskonale wszystko... chodząca biblioteka, do tego człowiek najlepszego tonu i Francuz — skarb, istny skarb!

Biskup drobineczkę usta przygryzł nieznacznie.

— Chciałam by miał właśnie tu szczęście być przedstawionym Waszej królewskiej Mości — gdzież jest Labe Poincot?

— Radbym mu podziękować za staranie z jakim mnie i krajowi pożytecznego wykształcił obywatela — dodał dosyć zimno król, który poczynał się już nudzić i ukradkiem spoglądał na Naruszewicza, jakby wzywając ratunku z toni. Biskup zdawał się odpowiadać oczyma i gestem królowi.

— *Nulla redemptio* N. Panie! kielich wypić do dna, nic nie pomoże.

Zjawił się w porę Labe Poincot, i cały zgięty, wylamany, pokorny jak liść jesienny upadły na ziemię, ucałował białą rękę królewską. Król znalazł w magazynie podróznym jakąś grzecznośćkę dla niego, i ruszył dalej, spodziewając się już rychłego końca oglądzin, ale się mylił niestety.

Po gabinecie historii naturalnej i fizyki, nastąpiła przepyszna daktyliotheka i gazo-phyllacjum, a że Stanisław i starożytne kamea i numizmata lubił i zbierał, musiał się tu dłużej zatrzymać. Nie spodziewał się wcale rzadkości które tu znalazł, co chwila wykrzykując z podziwienia i obracając się po konfirmacją do Naruszewicza.

— Księżę biskupie, wstyd nam z Albertandim, wstyd! Patrz co to za Lisymachus! jaki typ, jakie dochowanie — a to jest onyks przepyszny — gdzieżeś to pani pozdybywać mogła — *raritates!* na pocziwość!

— We Włoszech! odpowiedziała podczaszyna jakby od niechcenia.

— No — rzekł król odchodząc, teraz musimy się od tego oderwać, ale jutro rano daktyliothekę z księdzem biskupem przewartujemy.

Naruszewicz z pokorą się uklonił, i niespokojnie spojrział na drzwi oświeconej sali, której głąb' tajemniczy, przerażał go widocznie. Król pospieszył dalej widząc, że przegład daleko poprowadzić może.

Następowała biblioteka i zbrojownia razem.

Zbiór ten ksiąg mógł liczyć przeszło dziesięć tysięcy woluminów, po większej części francuzkich, włoskich, a w bardzo małej liczbie polskich, gdyż podczaszyna bibliotekę po Ordyńskich, installując nową, nabytą w Paryżu, sprzedać kazała hurtem nie wiem komu, aby te barbarzyństwo miejsca filozofom nowym nie zabierało.

Nowe tedy wykrzykniki króla i biskupa, nad pięknym ksiąg doborem i smakownem ich urządzeniem, nad wspaniałemi zbrojami i starożytnemi pamiątkami, co ściany i górne szaf gżémśa ozdabiała.

Zdawało się nareszcie, że przegład pałacu był ukończony, i że na ten raz nic nie pozostawało, tylko powracać, by się czemś orzeźwić i posilić. Pora była bardzo pomyśleć o żołądkach.

Właśnie się i król JMość skręcał już chcąc wychodzić, gdy niespodzianie, ukryte drzwi stanowiące całą ścianę biblioteki, jakby niewidzialną poruszone siłą rozwarły się, wielki blask z nich uderzył, król się zastanowił i ujrzał przed sobą długą ulicę zieloną, oświetloną lampami alabastrowemi, zwieszonemi od umajonego stropu, a w końcu jej, daleko, — coś tajemniczo połyskującego...

Podczaszyna uśmiechnęła się wdzięcznie, skłoniła się, wskazała drogę, i zaprosiła króla dalej.

— Idźmy więc na te Elizejskie pola wśród których duchy jakieś błakające się spozstrzegam, rzekł Stanisław podając uprzejmie rękę gospodyni.

— Jakkolwiek piękne i miłe mogą być duchy, odezwał się ksiądz biskup do generała Komarzewskiego po cichu — wolałbym jakie pieczone mięso zobaczyć.

Cały orszak towarzyszący królowi, postępował za nim i podczaszyną, ulicą z drzew cytrynowych, pomarańczowych, laurów i granatów ustawioną przez bardzo długą oranżerję. Zamykająca ją ściana ubrana była w kształcie zielonej altany, pod tą stał z darni ołtarz, a na nim paliła się ofiara, przed jaśniejącą z lamp różnobarwnych cyfrą J. K. Mości, i koroną z napisem meralu koronacyjnego:

„*Hanc jussit fortuna mereri.*”

Sześć panien cudnej urody, w białych pół przezroczystych sukniach, ubranych w girlandy kwiecia, wiły wieńce i rzuciły je pod stopy królowi. Nareszcie, na doskonale urządzonym obłoku, spuścił się geniusz w postaci maleńkiej dziewczeczki nad głową królewską i złożył na niej lekko wieniec bluszczu, lauru, dębu i nieśmiertelniczek razem splecionych, który Stanisław trwożny o fryzurę wziął w rękę zaraz, całując zań białe paluszki gospodyni.

Geniuszowi udało się bez szwanku podnieść nazad z obłokiem.

— To Olimp, rzekł król, a nie Elizu pola — bo i bóstwa widzę. — ...

Wtem poczęła się na cześć króla ułożona przez Labe Poinot, który i wiersze i muzykę utworzył, kantata francuzka, odśpiewana przez owe dziewice, przy akompaniamencie ukrytego za drzewami klawicembału. Poniatowski jeśli nie uczył, bo to mu trudno było — to przynajmniej doskonale uczucia radości umiał wśród tego przyjęcia odegrać. Dwór poklaskiwał ochoczo, biskup szukał komplementu nie zbyt wysłużonego, ale go jakoś wynaleźć nie mógł, i odłożył na po wieczery.

Wraz z pięknymi owemi sześciami bóstwami, które się okazały później córkami śmiertelnej tylko szlachty i jak proste śmiertelniczki dały się zaprosić na przygotowaną wieczerzę — wszyscy z oranżerji przeszli kolejną, znów, przez bibliotekę, daktyliotekę, gabinet fizyczny, galerję i nie jeden serdecznie się uradował widząc drzwi przeciwne otwarte, a stół ogromny wspaniale już zastawiony do kolacji. Właśnie się do stołu tego udać miano, gdy Stanisław August uproszony przez gospodynię, aby wieczerzy nie jedząc chciał wcześniej spocząć — pożegnawszy gości, przez wybranych poprzedzony tylko, zniknął.

Dwór tem swobodniej posunął się ku sali jadalnej, gdy książę Józef stryjca zastępujący, podał rękę podczaszynie.

VII

Zebrani goście z sąsiedztwa, wraz z przybyłymi z królem osobami, posiliwszy się niezmiernie wystawnym bankietem, prawdziwie jakby dla monarchy przygotowanym, na którym nie brakło nic, co tylko podniebieniu, językowi i oczom przyjemność uczynić mogło; (bo pomimo pory roku, najpiękniejsze owoce, najrzadsze przysmaki, późne i wczesne, na półmiskach w koło, wśród roskoszujących się łakotnisiów obiegały) — wstali od stołu dzieląc się na grona wedle wieku i ochoty. Jedni poszli za generałem Komarzewskim do bocznej sali, gdzie kosze starego węgryzyna do pijatyki zapraszały, popisywać się tęgością głów i objętością żołądków; drudzy za księciem Józefem, przy odzywającej się wybornej kapeli ruszyli do tańca.

Ksiądz biskup Naruszewicz nie chcąc należeć wyraźnie do czcicieli bachusowych, po kilku kielichach i kilku conceptach, cofnął się cicho do przeznaczonego mu apartamentu, by spisać wypadki dnia tego, w powierzonym mu dzienniku, który z gorliwością i powagą historjografa utrzymywał.

Tymczasem pijatyka dosyć hałaśliwa i coraz ferworu nabierająca *crescens cundo* — gdyż po edukacji Sasów, głowy ogromnie wiele znosić mogły i nie łatwo kto spoić się dawał — ciągnęła się nieprzerwanie pod przewodnictwem kilku szlachty pokrewnych domu, doskonale umiejących wymyślać zdrowia, mnożyć toasty, wznosić wiwaty i pod najdziwniejszymi pretekstami wznosić do góry kielichy, których niegodziło się odstawić nie wychyliwszy *sub paena infamiae*. Pito naprzód Najjasniejszego, potem księcia prymasa, księcia ex-podkomorzego, wojewodziny Podolskiej, marszałkowej koronnej, kasztelanowej Krakowskiej, potem księcia Józefa, potem dalszych kolligatów, senatu i wielkich urzędników koronnych i litewskich, szlachty i korony i W. księstwa, gospodyni, jej syna, przytomnych gości każdego z osobna; tandem gdy się assumptu wyczerpało, nastąpiły wi-

waty życzeń ogólnych — kochajmy się, miłości braterskiej, niech się święcą dobre czasy, *czort by bidu wziął* i t. p. Przyszło i do oklepanego zdrowia — wszystkich dam przytomnych oczom i sercom, a skończyło nad rankiem zdrowiem w pik złośliwości powszechnej wzniesionem głośno — wszystkich *pieczeniarczy!* Tak dbano przy kielichach o opinię.

W sali balowej z równą gorliwością powtarzano tańce, jak tam wiwaty i toasty. Szarzało już, gdy z ostatnim polskim tańcem puszczono się po wszystkich pokojach pałacowych, aż do oranżerii. Młody Alfier doskonale chwilami dotrzymywał generałowi Komarzewskiemu do kielichów, to znów księciu Józefowi do tańca. Rzeźwy, przytomny, grzeczny, uprzejmy, ochoczy i nad wiek umiejący gospodarować już w domu, co zapewne we krwi wziął po dziadach, niegdyś sławnych w swem województwie z domów zawsze otwartych dla braci szlachty i równie otwartego dla niej serca.

Podczaszyna acz się do końca nie uwolniła od obowiązków gospodyni domu, ale znać było że je spełniała z przymusem, z jakimś zamyśleniem i nieprzytomnością. Uśmiech jej chciał być wesółym a oko błyszczącym, czoło pogodnym, ale chwilami wpadała w zadumanie, i widocznie ciężar wspomnienia czy zawiedzionych nadziei, piękną jej białą pierś uciskał, bo się wznosiła westchnieniem.

Może też, choć zawsze śliczną jeszcze była i w pośród młodszych nawet ponętą, wesołość dziewczica towarzyszek, uśmiechy i szepty nowego pokolenia, do którego przyłączyć się już nie mogła, nieprzyjemnie ją drażniły. Otaczała ją powaga jakaś jakby odpychająca wielbicieli — w pośród majestatu swego była trochę odosobnioną, a obudzone lepszych czasów wspomnienia, sercem zatęsknionem miotały.

Niekiedy, choć nikt tego dostrzedz nie mógł — łza nawet dobiegała z serca aż do samych powiek, zakręciła się w nich i widząc że jej na ten błyszczący świat wyniść nie wolno — powracała nazad do głębi.

Już ustawiali znużeni tancerze, już cichła wrzawa balowa nadedniem, gdy Labe Poinso, który nieznacznie ale zręcznie dyrygował wszystkim, z twarzą ożywioną, uszczęśliwioną, jasną, przybliżył się ostrożnie do pani podczaszyniej.

— Spodziewam się, rzekł po cichu z pewną dumą, że wasza ekscelencja nie masz mi nic do wyrzucenia.

— A! wszystko było prześliczne! udało się wybornie — jestem panu bardzo a bardzo wdzięczna — z przymusem niejakiem odezwała się gospodyni — dokazałeś pan cudu.

— Król zdaje mi się był kontent a nawet zdziwiony trochę.

Gospodyni uśmiechnęła się zimno.

— Król? tak! tak! ale uważałeś pan jak prędko nam zniknął?

— Wszakże W. ekscelencja samiście go o to prosili?

— Nie sądziłam aby mnie tak łatwo wysłuchał!

— Interesa Stanu, a przytem potrzeba spoczynku! W całej podróży mowami, oracjami, deklamacjami nie dają mu pokoju! Spodziewam się jednak, dodał Francuz z uśmiechem wyższości, że N. Pan potrafił odróżnić moją kantatę, od tych pospolitych paplanin.

— O! nie wątpię!...

— Była zdaje mi się w najświeższym smaku, i śmiem sobie pochlebiać...

— Istotnie, N. Pan... przypominam sobie, unosił się nad nią.

— Podziwiał też urządzenie galerji, gabinetu, numizmatyki i biblioteki, mam więc nadzieję, że Wasza ekscelencja, której teraz nie będę już potrzebny, gdy hrabia — (Labe dawał ten tytuł bez braku wszystkim jeżdżącym karetą) — gdy hrabia już na świat wychodzi...

— Mówić będę, i wierz mi że wszelkich dołożę starań.

— Pochlebiam sobie, że taki człowiek jak ja, dodał Francuz, w kraju takim jak Polska... przydać by się mógł N. Panu.

— O tym interesie wierzaj mi Labe, nie zapomnę — jutro jeszcze król ma oglądać zbiory nasze, wcisnę mu słówko.

Labe skłonił się nisko i poszedł nadszkakiwać dworakom, których wcześniej względy chciał sobie pozyskać, zamierzwszy dostać się z pomocą podczaszyniej, do kancelarji króla, z tytułem sekretarza. Nie on tam jeden zaprawdę, latał tego wieczora w słodkich nadziejach i marzeniach; nie było prawie nikogo w liczbie gości płci obojej, coby sobie z tego zbliżenia do króla i faworytów jego, nie usnuł jakich na przyszłość korzyści. Marzyli jedni o starostwach, drudzy o kadukach, o Stanisławie i Orle Białym, o powołaniu

do dworu, o uplątaniu króla w miłości, o pokierowaniu się w Warszawie, poselstwie na sejm i nie wiem już jakich honorach, korzyściach lub przyjemnościach.

Tak upłynęła noc kołysanym nadziejami, wśród kielichów i tańca, a sen co na krótko zamknął powieki szczęśliwych, marzenie ich na chwilę jeszcze przedłużył.

Podczaszyna nadedniem już, w zmiętej swej sukni w złote gwiazdki, zrzuciwszy z ramion mglistą zasłonę, padła znużona w krzesło i odprawiła otaczające ją kobiety.

Czoło jej schyliło się w dłonie, wyraz głębokiego smutku je zasępił, łzy niewstrzymane teraz, spadły na białe jej ręce. Szczęściem nie było nikogo co by o przyczynę tych łez zapytał, komuby się z nich wytłumaczyć było potrzeba.

— Tak, tak, mówiła do siebie w duchu — napróżno marzyłam chwilę, przeszłości powrócić nie można, ani zwiędłego serca ożywić! Ale za cóż moje cierpi jeszcze tak żywo, za co dziecinnie wzięło igraszkę za prawdę? chwilowy kaprys za niepokonaną namiętność? Wszystko znikło jak sen, właśnie wtenczas gdy żywszą karmiłam nadzieję, że wszystko powrócić może... Ach! głupi kto wierzy ich sercu...

Oni go nie mają! oni go nie mają!

I z oburzeniem prawie gniewnem podniosła oczy zapłakane; w tem drzwi się otworzyły, zadrżała i lekko krzyknęła podczaszyna, Alfier pokazał się w progu, jakby wywołane żywe przypomnienie obowiązków, nowej życia epoki i nowych jej nadziei...

— A! to ty! zawołała podczaszyna kładąc rękę na czole — ja tak jestem zmęczona, czego chcesz Alfierze?

— Nic nie! tyłkom chciał zobaczyć czy mama spi? Co to jest? łzy?

— Ale nie! śni ci się chyba! łzy wdzięczności i ukontentowania może, po dniu tak dla nas pamiętnym.

Alfier stanął osłupiały: słowem nie mogąc wierzyć, przyczyny prawdziwej nie umiejąc się domyśleć.

— Idź spać, wstając powoli z krzesła i wyciągając ku niemu rękę, zawołała po chwili matka — ja także spocząć potrzebuję... Bardzoś ty się zmordował?

— Ja? nic a nic. Jedna noc! alboż tak ochoczo ją spędziwszy, wśród wesela i śmiechu, zmęczyć się można?

Gorżko jakoś, ale nieznacznie uśmiechnęła się matka.

— Idź spać, powtórzyła po cichu, w twoim wieku nic jeszcze nie męczy, ale na przyszłość sił ci potrzeba...

Alfier nie mogąc zrozumieć smutku matki i jej skwapliwego pozbywania się siebie, odszedł powoli zamyślony.

W sieni spotkał się ze starym Sienińskim.

— A pan jeszcze na nogach! krzyknął stary — niechże ja — jak sobie chce, ale podczaszycowi czas by położyć się i wywczasować choć trochę.

— Dość że wszyscy się uwzięli zapędzać mnie do łóżka, śmiejąc się rzekł młody chłopak, a ja na złość wam wszystkim ani myślę się kłaść — dość na to będzie jeszcze później czasu.

— Ale cóż JWPan myślisz robić, cały pałac chrapie...

— A! dobrze żeś mi poddał co mam z sobą począć — odezwał się bijąc po czole Alfier — muszę pójść do babuni! ona już pewnie wstała, napiję się u niej kawy. I tak wczoraj z wieczora być u niej nie miałem czasu, a pewnie biedaczka ciekawa i niespokojna.

— No! no! to dobra myśl, odezwał się stary — ale niechże JWPan weźmie co na siebie, bo przez dziedziniec iść potrzeba, a wiatr smali jak w styczniu...

— Daj mi swoją bekieszę Sieniński.

— Coś to nieprzystało — ze mnie na JW Pana...

— A nie plótlbyś, dawaj kiedy ci mówię.

To rzekłszy pochwycił ze starego, ruszającego ramionami, podbity lisami przydziełek i szarpnął się pędem ku oficynie.

Cisza znowu panowała w podwórzu — gdzieś tam dogorywały śwedliwie lampy, kopciły dopalające się światła, spali wszyscy co noc spędzili na hulance, kręcili się tylko ciężko i niechętnie, ci co nie podzielać zabawy, przysposabiać ją musieli dla drugich.

W oficynie u starej pani (jak ją zwano powszechnie) cicho też było, ale przez żaluzje i franki już światelko błyskało. Alfier rzuciwszy okiem na górę, poleciał wschodami.

VIII

W przedpokoju, toż samo dziewczę, któreśmy tu widzieli z wieczora, klęcząc u komin-ka i przygotowując ranną kawę, drzemało znowu trochę — błądy płomyczek ogniska oświetlał tylko silniej wydatniejsze sprzęty.

Alfier drzwi otworzył po cichuteńku, na palcach wsunął się do przedpokoju, przybliżył się do Agatki i korzystając z jej ospałości serdecznie ją naprzód wyściskał.

Dziewczyna nie krzyknęła nawet, może się domyśliwszy rannego gościa, ale pomimo cichego skradania się podczaszyca, z drugiego pokoju natychmiast głos się dał słyszeć.

— A kto tam?

— Wstała babunia? — spytał przybyły.

— A toż panicz wie — odpowiedziała Agatka poprawiając włosy — że o czwartej pani już nie śpi.

Alfier podskoczył do drzwi i z uśmiechem do nich zapukał — babunia nie śpi?

— A to ty moje kochane dziecko! chodź-no chodź, ale czemu ty nie spisz, czyżbyś tak rano już wstał?

Zrzuciwszy ciężką lisiurę, w balowym swym stroju, z wesołą twarzą, podskakując wpadł młody chłopiec do pokoju babki. Staruszka siedziała już w krześle z koronką i księ-gą, a gruba świeca żółta z zieloną umbrelką paliła się przy niej.

— Jak się masz Michasiu — zawołała wyciągając ręce ku niemu — jak że się masz dziecko moje? A! Chryste Panie! cóżeś tak wystrojony, — krzyknęła — czy to dopiero z festynu? czyście tam do białego dnia szaleli?

— A cóż babunia myśli? — spytał, całując jej ręce Michał Alfier — późno bardzo rozeszliśmy się, nie warto już kłaść się w łóżko pomyślałem sobie, i ot przybiegłem do babuni na kawę.

— Agatko! Agatko! — odezwała się krzątając staruszka, szukając kluczy i sparta o sto-lik podnosząc się już z krzesła — chodź no tu śpiochu! patrzajno, żeby mi tam kawa nie zbiegła, żebyś mi jej wodą nie dolewała, dostań dobrej śmietanki — słyszysz? A odsuń pudeleczo co tam stoi w kątku i podaj no mi je, niech dobędę sucharków.

Spojrzała w oczy wnukowi z uśmiechem macierzyńskim, rozkoszując się widocznie w pięknej, ożywionej jego twarzyczce.

— Chce babunia — zaczął swawolnik — żebym jej opowiedział od A do Z całe przyjęcie, przybycie i zabawy królewskie i nasze?

— A daj ty mi święty pokój! — ruszając ramionami odezwała się starościna — gadaj mi lepiej o sobie... coś ty robił? czyś tańczył? czyś się nie zaziębił na tym wietrze? czyś nie chory?

— A gdzie tam, ja zdrow jak ryba i wesół jak ptaszek.

— Bo wam młodym aby pohulać. — O mój Boże! jakie to jeszcze dziecinne! No! no! ale to wiek po temu. Mówże? bawiłeś ty się dobrze?

— Przedziwnie babunieczku i piłem ogromnie jak gąbka...

— Jak to, ty piłeś?

— Starego węgrzyna łokciowemi kielichami.

— Głowa cię nie boli?

— Nic a nic! jak po wodzie! Tańcowałem też do upadłego, śmiałem się do rozpuku i roztrzępiałem się tak...

— Widzę, widzę, roztrzępiałeś się tak, że podobno i wieczorny i ranny pacierz poszły z wiatrem.

Na wspomnienie o pacierzu, uśmiech lekki, trochę szyderski, przeleciał po usteczkach wychowańca Labe Poinso.

— E! moja babciu — rzekł Michał — jak się postarzeję to się będę modlił. Poinso powiada, że wszystko może być modlitwą, zacząwszy od...

— Jużciż nie od butelki i tańca — surowo przerwała starościna — twój ten Po-insot sensu nie ma za trzy grosze, że ci takimi andronami głowę nabija. Chce z ciebie zrobić Francuza, nich mu Bóg nie pamięta. Lepiej u nas było Michasiu, dopókiśmy się wszyscy modlili, a i wśród festynów o Panu Bogu nie zapominali. Wasz czas ze swoim niedowiarstwem, to przepowiednia ciężkich plag Boskich.

— Na co nas babunia tak ciężko straszy! co znowu? Świat owszem wyrósł, porozumiał — dawniej panowało barbarzyństwo, przesady, zabiera się dopiero nowy i lepszy w świecie porządek...

Staruszka pokiwała głową.

— Nie plótl byś Michasiu — przerwała — za panią matką pacierz, co ci Poinsoł naszwargotał. Francuz wierzypięta, sam nie wie co plecie, a tobie widzę świta w głowie, ot pij kawę póki gorąca.

Agatka wniosła w tej chwili na tacy imbryczki i ukradkiem zasłaniając się fartuszkiem uśmiechnęła się do figlarza, który jej na migi posłał całusa.

Babunia nalewała tymczasem, z troskliwością dobierając kożuszki i gromadę sucharków; podczaszyc nucąc coś okręcał się po pokoju i oko jego padło na wspomniony już obraz staro-niemieckiej szkoły, wystawujący Archanioła Michała. Zatrzymał się przy nim chwilę i odwrócił z jakimś uczuciem wstrętu, dziwnym w młodym filozofie.

Malowanie to, na które właśnie padał blask świecy, oprawne w staroświeckie wytwornie wyrobione ramy, godne było zastanowienia i rozbioru znawcy. Wiek osiemnasty jeszcze się był nie rozpatrzył i nie rozmiłował jak nasz w dziełach pierwotnych katolickich szkół malarstwa, bo wedle ducha swego, wyłącznie kochał się w mytologii i manjerowanych kompozycjach artystów swoich, lub tem co w wiekach poprzedzających najbliższem ich było. Obraz ten wszakże i w XVIII wieku zwracał oko każdego, tak silnie na nim wyraził mistrz pobożny zwycięstwo dobrego ducha nad szatanem. Promienisty w złotej zbroi Archanioł, z rozwiniętymi płomiennymi skrzydłami, z pełną zapału twarzą, której pokoju niebieskiego bój nie potrafił zamęcić, stał jedną nogą deptając głowę ducha ciemności — w rękach miał kopię ze sztandarem, na którym powiewało imię Jezus i *Quis ut Deus?* (*Mich-a-el*). Pobożny malarz nie wahał się tu położyć imienia Jezusowego, które zwyciężało przed wieki i wszelką tchnęło siłą. W górze nad Archaniołem lśniło się niebo pogodne, jasne, lazururowe, po niżej kłębammi zwiły się chmury, i czarne, nieprzejrzane, ciemnymi kręgi otaczały głowę szatana.

Prześliczne siłą, wyrazem potęgi anielskiej i spokojem zwycięstwa było lice Michała arcy-wojownika, ale szczęśliwy malarz jeszcze zdaje się dobitniej, wyraziściej, mocniej wycisnął na twarzy djabelskiej wszelką złość, wezbranie bezsilnego gniewu, szyderstwo męczarni towarzyszące, mękę upokorzenia, zajadłość upadku i dumę niepokonaną. Ta czarna djabelska fizjognomia, wykończona i wystudjowana jak obraz cały, była w swoim rodzaju arcydziełem, zwracała nawet zanadto może oczy patrzącego i psuła trochę efekt ogólny — gdyż jakkolwiek zwycięzko wyszedł artysta z trudnego zadania oblicza Archanioła, zdawało się, że trafem jakimś, czy usposobieniem szczególnem, jeszcze lepiej udało mu się odwzorować ideał złego i szkarady.

Podczaszyc z dzieciństwa przywykły spoglądać na patrona swojego i babki, zawsze się przerażał tym okropnym djabelem, który czasem takie na nim czynił wrażenie, że się po nocach zrywał przelękły zjawieniem szatana, a babka niekiedy zasłaniać musiała dół obrazu, aby się tak dziecko nie obawiało. Wyrosłszy nawet, Michaś zachował zawsze wstręt do tego szatana: teraz dziwnym fenomenem, straszyl go jeszcze i pociągał razem; ile razy był u babki oczów od niego oderwać nie mógł. Wzrok djabelski zaiskrzony, gniewny, szyderski, ściagał go wszędzie, lice to poczarne stało mu w myśli i głowie bez przestanku, a niekiedy twarze ludzi częściami przypominały mu to usta, to oczyma ten prototyp szkarady. W ciemnościach nieraz przywidywało mu się, że widzi Lucyfera tego wychylającego się głębiną czarnej i uśmiechającego zdradliwie.

I teraz mimowolnie spotkawszy wejrzenie szatana, podczaszyc wzdrygnął się, odwrócił i rzekł do babki:

— Moja babciu, czemu też babunia tego obrazu szkaradnego wyrzucić gdzie na strych nie każe... Malowanie nie osobliwsze, a djabeł tak szkaradny że aż strach...

— Wiesz kochańciu, że to pamiątka po dziadzie i pradziadzie moim, a przedstawia mojego i twojego patrona, bo nie wiem na co przechrzcili cię dla głupiej jakiejś mody na pogańskiego jakiegos Alfiera, którego nie znałeś na chrzcie świętym... dla mnie ty zawsze będziesz Michałem.

— Ale moja babciu co się tycze świętego Alfiera, proszę także mu nie ujmować, bo niezawodna rzecz, że opat Alfier żył pod Neapolem w którymś klasztorze Cystersów w XI wieku i jest kanonizowany.

— Nie sprzeczam się moje dziecko, ale ja wolę znajomego mi lepiej świętego Michała. Otóż i obraz ten, który go reprezentuje, jest mi bardzo drogi.

— Ale ten djabeł, ten szkaradny djabeł, babuniu.

— Straszny, to prawda moje dziecko, ale dobrze się go nauczyć bać, żeby w jego szpony nie popaść.

Alfier rozśmiał się.

— Czyż godzi się w naszym wieku — rzekł z tryumfem tęgiego ducha (*esprit-fort*) wierzyć w te stare banialuki... Któż wierzy dziś w djabłów i piekło?

— Cóż bo ty dziś pleciesz! co pleciesz! kiwając głową z oburzeniem przerwała staruszka. — Dalipan ten głupi Poinot zupełnie cię obalamucił! Filozofujesz! bredzisz, ale słuchaj starej swej babki, nie brykaj rozumem, bo czem kto wojuje, od tego ginie. Nasi dziadowie wierzyli pocziwie i bali się Pana Boga, a nie mędrkowali po francuzku i po niemiecku, bo to nie polska rzecz, i było im z tem dobrze. Ten wasz wiek, co go to nazywacie filozoficznym, do niczego pocziwego nie prowadzi, pamiętaj waść!! Pij kawę i gadaj o czem innym.

— A cóż babunia każe? chyba o królu Jegomości?

— I ten wasz król to także farmazon — ruszając ramionami odezwała się starościna — dajcież mi z nim pokój.

— O biskupie Naruszewiczu...

— O tym co to wiersze pisze! wiem! wiem! taki to i biskup mosanie! at! biskupi jak należy w poezję się nie wdają, zwłaszcza światową... Mów lepiej o sobie, czyś się dobrze bawił, czyś się wyskakał?

— O! wyśmienicie! Panien było hukiem i ładne prawie wszystkie. Sędzianki jak trzy róże, łowczanki jak dwie piwonie, cześniówny jak lilie trochę przywiędłe, a podkomorzanki jak trzy śledzie...

— Niepocziwy! — zaczęła się śmiać babka — a godzi się to tak ośmiewać? Pfe! pfe! i tego za moich czasów nie bywało, żeby kawalerowie z panienek sobie żarty stroili. — Patrzej go! trzy śledzie, no! no! a któż ci się tam najlepiej podobał?

— Babunieczku, jeszcze żadna.

— No to przecie masz sens, bo też waści bardzo wczesnie o tem myśleć, nawet cię za rano w świat puszczają...

— Mama prezentowała mnie królowi Jmci z pięknym bardzo komplementem, na co Najj. Pan odpowiedział z niewymowną łaskawością, a ja też wtrąciłem moje trzy grosze... zdaje mi się że moja przytomność podobała się królowi; mama mówi, że życzy sobie abym po powrocie jego z Kaniowa jechał do Warszawy i prezentował się na dworze.

— Zdaje mi się, nie ujmując matce twojej — rzekła stara poważnie — że wszystko to jakoś robicie za wczesnie. Jeszcze bym ja ciebie w to wielkie miasto, o którym mówią, że to teraz Sodoma i Gomora — nie puściła tak rychło, mógłbyś gdzieindziej pouczać się trochę, a z biedy choć podróżować, albo wojskowego skosztować życia.

— Mnie się babunieczku już co innego marzy — spiesznie przerwał młody chłopiec. — Cuda prawią o tej Warszawie, zowią ją małym Paryżem; tak się tam bawią wesoło, ochoczo, tyle ślicznych dam, tyle otwartych domów; dla czegożbym nie miał jak inni wejść na dwór królewski i służyć królowi i krajowi, młodych moich lat użyć?

— Michasiu! ej, Michasiu — smutnie a poważnie odezwała się staruszka, już wcale nie żartobliwym tonem — martwi mnie doprawdy to co mówisz, widzę że nie myślisz tylko o zabawie, a świat i życie, serce moje nie zabawka to wcale, to poważne, to święte dzieło, do którego ze skruczą w sercu przystępować potrzeba jak do ołtarza ofiary... wszak i ono ofiarą być powinno.

— Kochana babunieczko — całując ją w rękę i przymilając się przerwał Michał, teraz się to inaczej widzą te rzeczy, czasy się odmieniły! może to kiedyś tak bywało, ale dziś! dziś! piękniebym się wyrwał, żebyem chciał wskrzeszać dawne, wyśmiane obyczaje.

Starościnnie pobożna łza zakręciła się w oku.

— Róbcie sobie co chcecie — rzekła z cicha — ja do waszych rad nie należę, a wy mnie starej nie posłuchacie... na co wam darmo mówić! Tak, masz rację... inne to, inne czasy, wyście teraz w przekonaniu waszem rozumiejsi bez wąsów, niż my pod siwizną; kierujcie się jak was rozum wasz uczy, ale daj Boże, by to na dobre wyszło! Nie wątpisz Michasiu, że cię kocham, bo byś srogo przed panem Bogiem zgrzeszył...

— A babuniu! — przerwał młody chłopiec.

— Żal mi ciebie, żal szczerze, bo cię może w najlepszych intencjach do zguby prowadzą. Twój Poinot, jakiś szoldra, co się na nasze nieszczęście tu przybłąkał, zaszczerpił w tobie tę niewiarę i głupię jakąś filozofię która ich tam wszystkich obalamuciła... Daj Boże by ci serca nie popsuł, a głowy na wieki nie obłąkał!!!... Zrobicie sobie co się wam podoba... jedną tylko rzecz musisz mi przyrzec...

— Wszystko co babunia każe...

— Małą rzecz, a i to nie dla mnie, dodała staruszka, kochany mój Michale. Pamiętasz jakieś małym dziecięciem ze złożonymi rękami modlił się z rana i wieczorem u kolan moich z Anusią... Ile razy zapomniałeś pacierza (Anusia go nigdy nie opuściła) a zasnąłeś bez niego, to cię w nocy zawsze przykre sny dręczyły... Nie zapomnijże i w życiu nigdy, nie zapomnij na prośbę moją, choć krótkiego pacierza; on od ciebie szatana, który tym światem zawładnął dziś widzę, odpędzi...

Na ustach Michała przelotny, niedostrzeżony ukazał się uśmiezek, ale szczęściem staruszka go nie dostrzegła, a posłuszny wnuk przyrzekł jej, że się modlić będzie.

Dzień już był jasny, kiedy się ta rozmowa kończyła, Michał musiał się iść przebrać, pożegnał staruszkę szybko i szybciej jeszcze zbiegł po wschodach do swego mieszkania, nucąc jakąś piosnkę francuzką.

IX

Nazajutrz część gości z królem przybyłych, wyprzedzając Najjaśniejszego, dość rano popieszyła przodem, torując mu drogę, przygotowując nowe festyny, szlachta tylko z sąsiedztwa asystowała przy śniadaniu i pożegnaniu.

Z królem pozostali książę Józef, generał Komarzewski, biskup Naruszewicz i Ryx, co nigdy na krok nie odstępował Poniatowskiego. Był to przecie jedyny człowiek, na którego król czasem do złości się niecierpliwił i może dla tego stał mu się tak nieodbitcie potrzebny. A że te gniewy suto się zawsze opłacały, starosta Piaseczyński niekiedy je nawet, jak mówiono, wywoływał.

Wspaniałe śniadanie przygotowane zostało w sali dla gości, król go jednak nie tknął, bo już był po zwykłej filiżance mocnego bulionu — wstał przez ten czas przeglądać galerję, zbiory numizmatów i bibliotekę, w czem mu sama gospodyni przewodniczyła. Odprawiono pana Poinot pod jakimś pozorem, i Stanisław August pozostał na chwilę sam na sam ze smutną i zamyśloną podczaszyną, z czego nie bardzo się rad zdawał, okazując nawet trochę niepokoju. Oboje zresztą byli pomieszani, zafrasowani, trwożni, on że się wspomnień i wymówek lękał, ona że się może ostatniej obawiała stracić nadziei.

Lecz od czegoż umiejętność świata i nauka użycia słowa? Stanisław August doskonale umiał mówić tylko to co chciał, zdając się powiadać więcej daleko; posiadał ten talent rzadki niedopuszczenia rozmowy po za pewne granice, talent który często bardzo się przydać może, a mało komu jest dany. Grzeczność i galanterja francuzka, szczebiotliwa a czcza, zastąpiły zgasłe sentymanta — pochlebstwa zakryły brak uczucia, i podczaszyna rychło spostrzegła że się jej obawiano.

Z obrażoną więc dumą postanowiła zamknąć w sercu, co już zeń ulatywało na usta. Udała uśmiech, zmyśliła wesołą obojętność, a że syn na myśl jej przyszedł, wysiliła się nawet na prośbę.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się dobrawszy chwilę — pozwolisz bym pod jego ojcowską opiekę syna mojego przysłała. Sierota to i ostatni dobrego rodu potomek, godziło by się, żebyś Wasza król. Mość podał mu rękę...

— Chwała Bogu — rzekł w duszy król — pozostała jej tylko ambicja, i pospieszył chwytając drżącą rączkę białą podczaszynę, z usilnem naleganiem.

— Proszę mi go przysłać! pokieruję nim, popchnę, uczynię dla niego co tylko pani rozkażesz! Kawaler tak pięknie wychowany, nie może nie zrobić sobie świetnego losu na dworze moim, a gdyby i dalej na świat wyrzecz zapragnął, chętnie mu dam listy polecające do dworów. Słowem, zajmę się nim gorliwie...

Podczaszyna niskim, ceremonialnym bardzo ukłonem podziękowała królowi, choć ledwie nie gniew czuła w rozdarciem sercu, tak ją chłód ten króla, niegdyś kochanka, zabijał, tak ją ta zimna urzędowa grzeczność bolała.

Ks. biskup Naruszewicz, który, kto wie, może się domyślał przykrego położenia króla Jmci, pośpiesznie polknąwszy co sądził potrzebnem by w drodze nie osłabnąć z głodu, przybiegł w pomoc panu z uśmiechniętą twarzą — spojrzął na rozmawiających, a usiłując wyręczyć Poniatowskiego, rozpoczął od pochwał gospodyni i jej rezydencji.

— Zaprawdę — rzekł, nieznacznie dając znak królowi — w całej naszej peregrynacji nigdzie nic podobnego widzieć się nam nie trafiło. Na wsi, pośród naszej ubogiej Polski, tyle nagromadzić skarbów, tak urządzić życie, to rzecz niepojęta, to zasługa nawet, a przykład dla drugich wielkiej wagi.

— A co najdziwniejsze — dodał król siląc się na najwyszukańszy komplement, że ja tu nigdzie śladu barbarzyństwa naszego, naszych obyczajów, naszych nałogów i przesądów nie widzę! Marzę że jestem we Francji, wśród Paryża, a nic mnie nie przebudza.

— Maleńki Wersal! — rzekł biskup.

Podczaszyna słuchała pochwał, ale widać było że te ją nie poruszały wcale, w innym razie byłaby je przyjęła jak najmiłszą woń dla siebie — ale teraz...

— W moim smutnym wdowim stanie — odparła po cichu, z wyrazem głębokiego rozżalenia — szukać musiałam jakiejś pociechy, otaczając się tem co mnie przynajmniej odurzyć i rozerwać mogło; wiele też uczyniło się dla syna, którego zawczasu chciałam oswoić ze światem, w jakim go widzieć pragnę. Nie wychowałam go wcale po polsku, ledwie umie ten język, a co do sposobu myślenia, obejścia się, wyobrażeń, mogę Waszej królewskiej Mości zaręczyć, że i w Paryżu z nim bym się nie powstydzila. Wiele mi w tem dopomógł Labe Poinot.

— Kiedy tak, ten Labe dobrze się sobie nazywa... przerwał biskup dowcipując; król się nieco uśmiechnął.

— W istocie — rzekł — właśnie to wzbudza admiracją moją, że tu nic nie widzę polskiego, że gdyby nie zima zaglądnąca przez okno, sądziłbym się jeszcze w salonie pani Geoffrin. Ale nie te to już czasy! — dodał spuszczać oczy Poniatowski.

Powoli do pokoju, w którym podczaszyna, król i biskup prowadzili rozmowę, zaczęli się wciskać i inni biesiadnicy. Komarzewski jedną ręką dopijając kielicha za drzwiami, drugą dobywał zegarka jakby chciał przypomnieć zbliżoną godzinę wyjazdu... bo powozy już oczekiwały. Przemówiono coś jeszcze, ten i ów skorzystał z ostatniej chwili, by grubo osolony łaciną, a zdawna wysmażony wypalić królowi komplement; nareszcie poczęto się ruszać, a Stanisław August zbliżył się do gospodyni by ją pożegnać. Jakim tam ona wzrokiem rzuciła na odjeżdżającego, który unikał jej wejrzenia, ostatnią z sobą unosząc nadzieję, tego opisać niepodobna.

W tem król skinął, i rozkazał sobie podać pudełko, które starosta Piaseczyński przyniósł z drugiego pokoju na srebrnej tacy.

— Pozwól pani — rzekł z uśmiechem do podczaszynie — bym zawdzięczając jej, i dar tego arcydzieła Corregia, i jej niedorównaną gościnność, postarał się pozostać czemkolwiek w tem miejscu, bodaj maleńką i nic nie znaczącą pamiątką. Wstyd mi za mój dar tak ubogi i wcale nie królewski, ale serce co go ofiaruje, wylane dla ich domu, może mu cokolwiek przydać ceny.

To mówiąc, z otwartego pudełka Stanisław dobył przepyszne kolje z kameów starożytnych i z pełnym galanterji ukłonem, podał je pani podczaszynie.

Ona słuchała słów jego ze spuszczonej oczyma, z których dobrze że łza nie wytrysła — zniżyła się przyjmując pamiątkę i dowód łaski J. kr. Mości, ale na podziękowanie zaledwie słów kilka znalazła. Król rzucił okiem szukając widocznie Alfiera i rozkazał mu się przybliżyć.

— Kawalerze — odezwał się biorąc z rąk biskupa przygotowany już order Św. Stanisława i wkładając go na młodego chłopca zarumienionego z radości jak dojrzała wisznia — daję ci jako pamiątkę i zachętę dla służenia tronowi i ojczyźnie.

— Nie zasłużyłem jeszcze Najj. Panie — klękając i całując rękę królewską, przebąknął Alfier.

— Ale nie wątpię że zasłużysz, krew pocziwa nie kłamie, będziesz godnym W... i Ordyńskich, co daj Boże!

— Amen! — dołożył biskup.

— A teraz mości panowie — zawołał Poniatowski podany biorąc kapelusik — komu w drogę temu czas; choć nie miło to zaczarowane opuścić ustronie, przecież potrzeba, żelazna woła konieczność.

— Bo inaczej na nocleg w K... nie staniemy, dodał Komarzewski, gdyż już dochodzi jedenasta...

Wszyscy ruszyli się przeprowadzić króla, a szlachta z cześnikami Styrpejko rzuciła się do koni, chcąc mu towarzyszyć do granic powiatu lub dalej nawet, konwojując powozy. Ktoś tam jeszcze miał w zanadru przygotowaną mowę pożegnalną. W ganku powtórzyły się podziękowania, komplementa, kielichy, wiwaty, okrzyki, ukłony i z hałasem wielkim ruszyła w ostatku królewska karoca lipową aleją, szeregiem zgromadzonego znów ludu.

Podczaszyna znikła natychmiast z ganku i pobiegła do swojego pokoju, gdzie na nią smutek i boleść czekały, Alfier odprowadzał króla ze szlachtą.

X

Powiedzmy teraz słów kilka o rodzinie Ordyńskich i osobach ją składających, któreśmy tylko zdaleka dotąd widzieli.

Rodzina ta należała do szcuplej liczby bojarsko-szlacheckich, prawie książęcych familji na Rusi, które tu już panowanie polskie zastało w znaczeniu i powadze. Herb jej, brama obozowa, podobnie jak wiele innych ruskich, złożony z kilku lasek, które później heraldykom naszym podobało się przeważać strzałami, klamrami, literami, bramami, podobny był do widywanych dziś jeszcze po starych cmentarzyskach Wołynia i Podola grobowych znamion, które niewątpliwie wszystkim czysto rusińskim herbom dały początek. Były to widać godła gmin i ich wodzów, równie na chorągwiach jak na mogiłach używane, które później stały się znamieniem szlacheckim. Ordyńscy z dawien dawna mieli ogromne posiadłości nad Styrem i Horyniem: ich stolicą przed stu laty już wyszła z imienia, był gródek Ordyń czyli Ordynia, malowniczo na brzegu Horynia sterczący. Głuche podanie, fałszywe ale stare, wiodło ich od znacznego jakiegoś, nawróconego wodza Ordy tatarskiej, lecz tego się wypierali Ordyńscy, utrzymując, że byli rodzimymi Wołyńskimi ziemianami. Ród to był, jak pisze Paprocki i Okolski, zawsze wielkiego animuszu ludzi, ale mężowie często zbytnią mieli skłonność do Weneri i Bachusa. Wiodło się im jakkolwiek, gdyż przez kilka wieków dziedzicznie prawie brali krzesła w swoim województwie, i wielkie w niem pozyskali znaczenie. Zamiast jednak przyrobienia majątności, pomimo dosyć bogatych połączeń i wniesionych im przez kilka dziedziczek imion, podupadać zaczęli na fortunie. Ojciec zwłaszcza pana podczaszego, a dziad Michała-Alfiera, człowiek niewielkich zdolności a nazbyt miękkiego serca, ostatecznie się był zaszargał. Całe swe życie siedział on na wsi, i żył nazbyt hojnie szafując swem mieniem.

Przez cały rok gromadziła się u jego stołów, piła i jadła szlachta, nie tylko województwa Wołyńskiego, ale ziem przyległych; byle święto, występ był ogromny, a co sejmik zjeżdżał starosta w kilkaset koni i dworzani do miasta, gdzie całe miesiące przenoszono do jego kwatery beczki węgryzna ze wszystkich winiarni, i wytaczano je co dzień z lagrem tylko na dzień. Hrehory, tak mu było na imie (choć miał drugie imie Michał), z kielichem w ręku, nieruszając się z krzesła, gdyż tak był otyły że prawie chodzić nie mógł, a dwóch hajduków w razie potrzeby z miejsca na miejsce go przenosili, słuchając teorbany swego Daniłka trawil dzień całe; a jeśli zmęczony śpiewak ucichł, występował nadworny jego trefniś, niejaki pan Jakób Mława, który powiastkami i facecyjkami miał obowiązek go zabawiać. Cały też boży dzień śmiał się tylko pan Hrehory, aż mu się brzuch i troisty trząś podbródek, a to mu wszelki ruch zastępowało, bo innego użyć nie mógł. Ożeniony przez przyjaciół z ubogą ale znacznego rodu księżniczką S... mało z nią żył, bo po trzech leciech rozpoczął już ów tryb życia, o którym mówiliśmy, a pani z synkiem którego Bóg dał, całkiem inny musiała na ustroniu prowadzić. Pobożna to była, pracowita, cicha i zacna niewiasta, ale najlepsze jej chęci i usiłowania na niewiele się przydały; nic prawie mężowi prócz pięknej kolligacji i piękniejszych jeszcze cnót swych nie wniósłszy, nie miała też prawa rozrządzać jego mieniem, i musiała płacząc patrzeć jak mizernie niszczało. Szarańcza pochlebców i wydrwigroszów ciągle otaczała Hrehorego, zabierała co tylko miał, objadała go i opijała, i tak się nieborak ani postrzegł gdy majątek zahaczył, że pod koniec dla nieładu i długów naprzykrzonych, niemal chleba brakowało.

Niemogąc już wina, pił jeszcze piwo i wódkę pan Hrehory, śmiejąc się ze swym teorbanistą i trefnisiem po staremu, póki ich stało; gdy i ci od pustej szpiżarni uciekli, umarł nieboraczysko. Wdowa szczerze go oplakiwała, boć w gruncie, gdyby cokolwiek lepsza głowa, człowiek był bardzo pocziwy, ale nigdy żadnej rachuby i interesów zrozumieć nie chciał, a do pracy żadnej nikt go nie napędził. Ledwie kto z nim na serjo mówić zaczął, mrugał na Daniłka lub dawał znak Jakubkowi, i teorban lub concept przerywały rozmowę, a figel jaki kończył ją śmiechem.

Śmierć jego była sowitą karą za grzechy. Z tej ciżby mniemanych przyjaciół, z tego tłoku pochlebców, nikt a nikt przy nim oprócz spłakanej nie pozostał żony; nawet niewdzięczny Daniłko drapnął z teorbanem do któregoś z Sanguszków, a trefniś go jeszcze poprzedził, zabrawszy Hrehoremu ostatnią z niedźwiedziami bekieszę. W przeciągu kilku tygodni, z osamotnienia i przymuszonej trzeźwości, biedny starzec tak spadł z ciała, tak okropnie wychudł, żeby go był nikt nie poznał; na nogach jednak odzwyczajonych od posługi, utrzymać się już nie mógł. Siedział milczący z przymrużonymi oczyma, aż go tęsknota, niedostatek, smutek i zmiana życia dobiły. Przed samym zgonem wpadł w gorączkę, otworzył oczy, uśmiechnął się i snem, widzeniem, przeszło mu przed oczyma dawne życie.

— Graj Daniłko! graj! wołał ciągle — hej! hej! tę ukraińską, kozacką, hulaszczą, *szczo to znajesz*. To znów obracał się jakby do Jakóbka i wyzywał go niby na facecje... Z wielkim śmiechem nareszcie przyszła czkawka śmiertelna, spadł z krzesła i skończył choć późno opamiętawszy się, wykrzykiem — Jezus, Maria, Józef!

Po śmierci, wdowa z małym jeszcze synkiem, który miał naówczas ledwie rok trzynasty, nie byłaby sobie pewnie dały rady, gdyby Pan Bóg co czasem opiekuje się wybraną jaką rodziną, nie dając jej upadać, nie wziął ich pod skrzydło swoje. Już, już wierzyciele rozchwytywać mieli majątki, dotąd w ręku Ordyńskich zostające, gdy niespodziewanie odebrała pani Hrehorowa wezwanie, aby przybyła do mężowskiego brata.

Miał bowiem pan Hrehory rodzonego, o którym jeszcześmy nie wspomnieli, żyjącego w stanie duchownym. Stosunki rodzinne wyniosły go rychło na dość znaczne stanowisko, został naprzód kanonikiem Łuckim, potem prałatem, trzymał dwa bogate probostwa a następnie dano mu infulacją Ołycką. Ksiądz Adam szczęściem był tak oszczędny jak Hrehory nieopatrzny, i całe życie swoje zbierał tylko grosz do grosza. Nieraz też się już u niego chciał być pożywić brat, ale infułat, który nie miał zwyczaju puszczać z rąk pieniędzy, nie życzył sobie też podsycać hulaneł na które zrywał się i bolał. Był to człowiek milczący, dosyć pobożny, charakteru bojaźliwego, i nadzwyczaj dla siebie i dla drugich skąpy. Dziwy prawiono o jego oszczędności, dworze, stole i życia sposobie.

Póki był kanonikiem, żył zupełnie zamknięty, a do stallów na nabożeństwo przychodził w wytartej rysiej szubce, którą jeszcze do seminarjum od ojca był dostał. Potem zmuszony do nieco wystawniejszego życia, tak je sobie urządził, że nikomu nie chciało się z nim dzielić stołu i towarzystwa. Księża kanonicy i wikarjusze w dniu uroczyste musieli u niego zjadać objadki, ale znając je, wprzódy z domu dobrem się na nie przygotowały śniadaniem; z obcych zaś mało kto do księdza infułata zawitał. Ksiądz Adam na tym dostojenstwie chodził w bardzo wytartych fioletach, do rysiej starej szubki kazał tylko dać nowy kołnierzyk z kłamanego sobola, w zimie po piecach nie palił jak powiadał dla zdrowia i mortyfikacji, a jadł gorzej najuboższego szlachcica.

Z jego to powodu, przewzano kwaśną lurę węgierską, *infułacką matmazją*, i długo w tych stronach, wszystkie brzydkie wina nosiły to imię, zresztą, byle kto do jego kieszeni nie zaglądał, infułat wcale był dobrym człowiekiem. Siebie nawet nie żałował na posługę chrześcijańską i obywatelską, ale grosza nie zaofiarował w żadnym razie. Co dziwna, to że zdawał się przeciwko obyczajowi wszystkich ludzi nałogowych, znać się do swojego defektu skąpstwa. Jeden ze śmielszych kanoników, często mu jego sknerstwo na publicznych przygryzał kazaniach, a infułat nie okazał niczem by go to obrażać miało. Raz nawet po takim kazaniu spotkawszy sam na sam oratora w zakrystji, rzekł do niego:

— Dziękuję księdzu kanonikowi, za nauczkę i obrok duchowny — wszyscyśmy ludzie!

Kanonik który myślał, że tu go reprimanda spotka, zmieszal się zrazu, potem zdziwił tem pomiarkowaniem i już chciał niewinniać się, bo mu się żal starego zrobiło, gdy infułat dodał z westchnieniem:

— O tak! wszyscyśmy ludzie i słabi. — Ale starszych błędy publicznie na pośmiewisko podawać, czyli się godzi, sumieniu to WMPana dobrodzieja do rozwiązania polecam.

Kanonik odszedł zgryziony i upokorzony.

Trybu wszakże życia swego, bynajmniej potem ksiądz Adam nie zmienił. Raz w rok na imieniny bratowej, którą wysoce szacować umiał, zjeżdżał regularnie starą bryką zieloną w wilją z wieczora; nazajutrz na jej intencją odprawiał mszę świętą w kapliczce, bywał na obiedzie, i póki żył brat, często z nim nawet niewidząc się, odjeżdżał nazad.

Ciężkim był dla niego musiał widok marnotrawstwa pana Hrehorego, którego że do opamiętania przywieść nie mógł, potem już i nie próbował nawracać; wdychał tylko przed bratową, przewidując, że w rękę poczciwego ale nieopatrzego Ordyńskiego, ostatek rodzinnego mienia stopnieje.

Gdy mu znać dano o smutnym upadku fortuny Hrehorego, nie dał się z Olyki wyciągnąć, ani go chciał poratować; zjechał dopiero na pogrzeb z duchowieństwem. Starał się nieco wdowę pocieszyć, dodać jej mężstwa i otuchy, ale nierozwiązawszy worka, trzeciego dnia po egzekwjach solennych, do domu powrócił.

Znając jego skąpstwo, nie mogła się domyśleć bratowa, czego ją teraz do Olyki wzywano, ale natychmiast z synkiem, od którego była nieodstępna, pospieszyła do infułata.

Zastała go już na śmiertelnym łożu i po ostatnim pomazaniu, ale jeszcze przytomnego zupełnie. Przyjął ją z uśmiechem.

Chwała Bogu, że się Asindzki doczekał, rzekł pokaszlując, — a dobrze żeś się pospieszyła, bo dalej, dalej, mogliby mnie powołać tam!! wskazał w górę.

— Dusza już się ledwie w mizernem ciele kołacze nie traćmyż czasu, a mówmy o czym potrzeba.

Podniósł się na łokciu i nieco ku starościnie stękając przybliżył.

— Bliska chwila, w której Bóg litościwy, z grzechów mnie moich sądzić będzie, a grzechy moje wielkie, bom się biorąc suknię duchowną, świeckich sentymentów i kłopotów pozbyć nie umiał. Dałem światu zgorszenie zbierając chciwie grosz, a odrywając od gęby drugim i sobie. Bóg widzi, że przecie nie ze wszystkim może miał myśl grzeszną, choć i *nepotyzmus* nie cnota w księdzu. Smutno mi było patrzeć na upadek mojego rodu przez nieboszczyka pana Hrehorego dokonany, zawczasu postanowiłem sobie ciuć i sknerzyć, by was kiedyś podratować. Mniejsza o to, że mnie ludzie za to oplwali, ale nie wiem jaki u Pana Boga znajdę rachunek.

Nie zbierałem ci ja nigdy grosza krzywdą ludzką, ani wydzierstwem, bo by mi się roztopił w rękę waszych, ale odejmując sobie, odejmując innym z tego co sądzili, że mi im pozycja moja i przyzwoitość dawać kazała. Zebrało się tam grosza dosyć, moja jejmościuniu, daj Boże by mi go przebaczone tam na górze — zabierzcie go, a użycie na dobre uczynki. To sobie tylko u Asińdzki waruję, by póki życia jej i syna, dzień w dzień zakupywana była msza święta za duszę moją, a w rocznicę śmierci niechaj będą egzekwije. Bez wystawy, bez ceremonii, bez przepychu, cztery świece, kilimek i krzyż, dosyć będzie, byle była modlitwa, nie przejdzie to parę talarów. Co się tycze pogrzebu jużem ja wszystko rozdysponował, — z pokorą świętą niech będzie bez niepotrzebnej pompy, na to już grosz odłożony i do najmniejszej świeczki sam opłaciłem. Weźmij Asińdzka te klucze od alkierzyka, tam wszystek mój grosz w złocie znajdziesz. Odesłać go zaraz do domu, długi poopłacać, majątności nasze wykupić, a nie szafować nim, i chłopca uczyć zawczasu oszczędności, żeby mu co ojcowskiego w żyłach nie zostało. Zaraz mi to Asińdzka każ zabierać, pókim ja jeszcze żyw, żeby potem kwestji nie zrobiono, albo nie uchwycono czego. A proszę się spieszyć, bo ostatek życia Panu Bogu należy i wiem, że go już nie wiele zostało. Syna mi tu przyprowadzić, żeby mi też go choć grzesznymi rękami pobłogosławił.

Wdowa rozplakała się padając do nóg staruszkowi, który w cichości i z zebraniem wielkim ducha pomodlił się nad głową chłopięcia — potem infułat kufrę i szkatułki powynosić kazał i na wozy powkładać, a sam dopiero uspokojony, znowu na śmierć gotować się począł.

W ten sposób niespodzianie jakoś, Ordyńscy znowu na nogi stanęli, a zarząd wdowy nie tylko znacznie podniósł ich fortunę, ale ją jeszcze rozrobić potrafił. Zawsze u nas kobiety rządniejsze były od mężczyzn, i wiele majątności im winny byt swój lub podźwignienie; nie raz widywano je zaprowadzające rząd w najzagmatwańszych interesach, dające

sobie radę z procesami, gospodarstwem, wychowaniem dzieci, oszczędzając bez skąpstwa, a tam gdzie ledwie wprzód na liche życie starczyło, tworzące zamożność i zbiory. W ogólności w czasach dawniejszych, więcej zmuszeni żyć publicznem życiem, mężczyźni tracili raczej niż zbierali, kobiety rządziły, gospodarowały i utrzymywały porządek. Pani Ordyńska przy pomocy fortuny mężowskiego brata i lepszych nieco czasów, wkrótce do dawnej świetności przyprowadziła fortunę — opłaciła wierzycieli, ustanowiła porządek i miała grosza podostatkiem na wszystko. Wychowanie syna tymczasem szło sobie bez wykwintu, bez wielkich przyborów, po staropolsku, z oglądaniem się na to do czego było powinno przygotowywać młodego człowieka. Ordyński po prostu z pod feruły dyrektorskiej poszedł do szkół, i skończył nauki nie objawiając nadzwyczajnych talentów, ale też nigdzie niebędąc ostatnim. Przytem, jak to dawniej bywało, rósł z niego człowiek praktyczny. Matka kochając go nie oszczędzała, hartowała ciało razem i duszę. — Przybывая na ferie do domu, musiał jej w pocie czoła gospodarzyć, rachować, jeździć, pilnować robotnika nieraz, i uczyć się jak grosz pocziwie zapracowany przychodzi mozolnie. A choć w przyszłości bogatym być miał, matka go wcale nie przyzwyczajała do wygod zawniasu. Sukienką się musiał kontentować ze starej przerobioną, futerkiem ladajakiem, butem domowym i grubą bielizną, z talarka zaś każdego któren do kaletki dostał, ścisły potrzeba było zdać rachunek. W ten sposób trochę ostro ale z osładzającą surowości konieczną, wychowany dobrocią i macierzyńskim staraniem, wyrósł Ordyński na młodzieńca, co mógł być krajowi użytecznym człowiekiem, dla którego przyszłość nie była straszną. W głowie miał wcale dobrze, uczucie pocziwie biło w sercu, wiedział co w jego położeniu i stanie potrzebnem być mogło, miał pojęcie swoich obowiązków, a nie uląkłby się ani ubóstwa, ani pracy. Konia dosiąść dzikiego, w szablę się ściąć, umiał doskonale, znał prawo krajowe, że go lada kauzyperda w polę by nie wywiódł, a gospodarz był z niego co się zowie; bo rzecz swoją po ekonomsku, zbliska w najdrobniejszych znał szczegółach. Matka nigdy mu w głowę nie nabijała żeby miał być panem, owszem ustawicznie postękiwała na interesa i zalecała oszczędność, tak że się ani domyślił że bogatym być może.

Wyszędzszy ze szkół nie dano mu próżnować, a że jedynaka nie chciało się matce na azardy wojenne wystawiać, pod pozorem, że pomocy jego potrzebuje, zatrzymała go w domu używając do interesów i gospodarstwa. Jeździł po trybunałach atentując sprawom, a resztę czasu spędzał, na oglądaniu pilnem majątności. Tymczasem, jak skoro lat doszedł, szlachta pamiętająca o Ordyńskich, zaraz mu pokoju nie dając, wybrała go posłem na sejm. Matka nie bardzo była temu rada, bojąc się miasta dla syna, ale musiała pozwolić, zwłaszcza, gdy do niej przyjechali sejmikowicze usilnie jej przedstawując, że się ta posługa od młodego i możnego obywatela krajowi należy.

— Ależ to dzieciuch odparła matka ze łzą w oku.

— Starościno dobrodziejko, rzekł pan Puhala, krew pocziwa nie zawodzi, zresztą instrukcja i przykład innych panów posłów wskażą mu drogę, a serce najpewniejszą wykreśli.

Dopiero się naówczas Ordyński młody przekonał, że wcale ubogim nie był, bo matka nie chciała by się w stolicy nieprzyzwoicie i nieodpowiednio stanowi swemu pokazał. Jednego ranka zawołała go do siebie i zamknawszy pokoik, zbliżyć się kazała do swojego krzesła.

— Słuchaj-no mój drogi, odezwała się, dorosłeś dzięki Bogu, masz rozum, czas ci go użyć samemu — nie będę ci tać dłużej, że dzięki Opatrzności, spadkowi po stryju, mojej też pracy i oszczędności majątek będziesz miał znaczny, choć ci go ojciec nic nie zostawił. Łatwiej go stracić niż nabyć, gdyby nie stryj, gdyby nie moje horowanie wycierałbyś może cudze kąty, choć z senatorskiego rodu pochodzisz po mieczu i kądzieli. Bogactwo rzecz krucha, kto w niem na nędzę nie pamięta, nie czas się jej obawiać gdy już przyszła. Oto masz rachunki z mojej opieki i stan twojego majątku, oddaję ci go, ale pamiętaj, żebyś marnie nie puścił krwawego potu mojego.

— Matko dobrodziejko, odpowiedział jej syn padając do nóg jak długi, nie chcę ja wcale majątności do rąk moich odbierać, rządź i rozporządzaj nią jak swoją, a co mi łaska twoja na sustentację wyznacz, tem się kontentować będę.

— Dobrze to, że się chesz zdać na mnie, ściskając go zawołała starościna, ale jabym rada spocząć i zobaczyć, jak ty sobie poradzisz, bom ci to i ja nie wieczna, przytem kiedy

cię już obywatele wyborem na publiczny urząd zaszczytli, to się jakoś przyzwoicie pokazać należy. Wedle stawu grobla, ale znowu lada chróstem się nie zbędziemy, potrzeba ci i dworu i koni i człowieka coby ci wszystkiego dojrzał, i sukienki od ludzi, i szabelki strojnieszkiej i całego moderunku szlacheckiego. Nie chcę żebyś myślał drugich zakasowywać, ale ostatnim znowu być nie powinieneś, żeby się za ciebie województwo nie wstydziło.

Za radą pani matki przysposobiwszy się Ordyński, pojechał na sejm przystojnie, a choć nie błyszczał nad innych, znać jednak było po nim, że miał się za co postawić w potrzebie. Imię znane pociągnęło go do dworu, zrobiło mu stosunki w lepszych ówczesnych towarzystwach, wiedziano o podźwignionej fortunie, o znaczeniu familji między szlachtą, i dwór a stronnictwo dworu pomyślało by go sobie zjednać. Młody przytem, przystojny, majątny, dobrą był ze wszech miar partją, których tyle prawie na sejm przyjeżdżało co posłów.

Nie jeździły do stolicy szlachcianki, ale panie większego tonu i imion, zwłaszcza uboższe, co się świeciły tylko staremi pamiątkami lepszych czasów, lub tytułikiem cudzoziemskim, chętnie swe córki i krewne na ten targ wywoziły, a nuż komu w oko wpadną?

Przez te krewne, kuzynki, kolligatki, zwiększali panowie stronnictwa swoje i robili sobie wiernych adherentów. W życiu tak polityką przesiąknęli, jak było nasze, i małżeństwa też często za narzędzia użyte bywały.

Właśnie podczas gdy młody Ordyński posłował, przybyła do Warszawy księżna W... z córką. Mąż jej jeden z najwyższych urzędów piastował w Rzeczypospolitej, i po części z powodu intryg w które się dał wprowadzić żonie, po części dla wielkich wydatków na jakie go jej przepych narażał, znacznie nadszczerbił majątku — starostwa go tylko trzymały przy splendorze do którego był przywykł. Książę Jan był człowiekiem dość pospolitym, nie wielkiej głowy, ale mocnego przekonania o ważności swej, nie śniło mu się, żeby nim żona kierowała i był najpewniejszym zawsze, że idzie własną drogą i wolą, a nie czynił tylko co ona mu zręcznie natchnęła. Wszyscy o tem doskonale wiedzieli prócz niego.

Księżna pochodziła z rodziny saskiej, bardzo podobno znakomitej i herbownej ale zubożalej, ożeniono go z nią w Dreźnie, bo żaden Niemiec tej gołej fanaberji nie chciał. Nowa polka z początku wzbraniała się jechać do kraju, który sobie barbarzyńskim wyobraziła, namawiała męża żeby się wyprzedał i osiadł w Saksonji, ale to jedno jej się nie powiodło, książę stanowczo odpowiedział, że z tego nic nie będzie. Pojechali tedy do Polski za dworem, a tu rozpatrzywszy się jejmość i widząc, że łatwiej jej będzie o wielkie znaczenie niż w domu, zgodziła się żyć w przybranym kraju, choć ojczyznę mężowską wyśmiewała bez litości. Nie lepiej też traktowała i swoją własną, będąc całą duszą francuzką; taką ją uczyniło ówczesne wychowanie. Nie bardzo piękna, wcale nie młoda, ale wielkiego tonu i straszliwej przebiegłości, księżna uroiła sobie, że powinna trząść Polską do której przybyć raczyła i odrazu rzuciła się w intrygi polityczne. Znalazła na tem polu i pomocników i wielbicieli i współzawodników, mając ucho u króla, pokrewieństwo bliskie z wszechmogącym Brühlem, stosunki przez męża z całą Koroną i Litwą; łatwo się obeznawszy z tokiem spraw powszednich i sposobem prowadzenia ich krajowi właściwym, poczęła księżna działać i bawić się.

A że dawała świetne bale, że szafowała łaską królewską i ministra, że zręcznie wyśmiewała Polaków, co u nich zawsze uchodziło za najlepszy ton i dowód jakiejś wyższości; wkrótce i dom się jej napełnił i dwór ją otoczył powolny, nadskakujący, spełniający jej skinienia, tak że pochłubić się mogła iż dopięła w zupełności życzeń swoich celu. Książę w pokoju ducha zawsze był sobie najpewniejszy że on żoną kieruje, że ona mu tylko pomaga, i w miarę jak jej znaczenie rosło, on sobie wzrost ten przypisywał. Był to najszczęśliwszy z ludzi, choć najdoskonalej przydeptany pantoflem. Małżeństwu temu dał Pan Bóg jedną tylko córkę, dziedziczkę nadrujnowanego mienia, imienia i w części charakteru matki, z maleńkimi odmianami. Panienkę naturalnie wychowaną na cale cudzoziemski sposób, wykołysano francuzczyzną i dobrym tonem europejskim, a że Bóg dał jej piękność, marzono dla niej wielkie losy, nie mniej jak Radziwiłła lub Potockiego. W czasie owego sejmu, księżna ostatkami goniąc dawała świetne bale, choć panienka ledwie była wyszła z dzieciństwa, ale że jej pilno w świat było, ani ojciec, ani matka pieszczonej jedynaczce sprzeciwić się nie śmieli.

Książę spraszał licznych gości na swoje wieczory, a że jego projekta polityczne potrzebowały wsparcia od posłów, w liczbie innych bywali i oni. Ze zaś dobra książęce leżały na Wołyniu, a pan Ordyński był nawet, dalekim wprawdzie, kolligatem W... naturalnie wciągnięty został do domu dygnitarza.

Nie wiem jak się to stało, ale któż podobne wypadki wytłumaczyć potrafi? Ordyński zaledwie ujrawszy księżniczkę, szalenie się w niej rozkochał, a że naówczas między nim a nią na oko wielki był przedział, bo księstwo oboje daleko wyżej myślami i nadzieją strzelali, nie pokazał się więc wcale ze swoim afektem. Młoda księżniczka nie wiem nawet czy w tłumie otaczającym wyróżniła naówczas Ordyńskiego, który i nieśmiały był i niewytresowany do wielkiego świata.

Skończył się sejm nie doszły, powrócił pan poseł do domu, do płóciennego kitła, do czarnych butów, skromnego życia i gospodarstwa, trzeba było książęcych wieczorów zapomnieć, a pamięć tak je uparcie nasuwała na oczy! Postrzegło rychło oko matki, że młokos przywiózł z sobą jakiś niepotrzebny smutek, i domyśliła się, że to musiało być coś serdecznego, ale syn się do niczego nie przyznał, a ci co go otaczali o niczem też nie wiedzieli.

Minął rok jakiś, aż tu zmarło się księciu staremu nagle prawie w podróży, z nim upadło wiele marzeń i nadziei; księżna poznała dopiero, że ten powolny i dobroduszny mąż wielce jej przecie był potrzebny. Chciała z razu znowu odjeżdżać do Niemiec, ale tam chleba nie było, tu się jeszcze trzymały starostwa, musiała dla nich pozostać. Dom wszakże tak świetny niedawno, opustoszał, a że familja księcia gdy go nie stało, straciła ochotę z Niemką się bratać, i inni też od niej odstąpili; córkę dorosłą gwałtem potrzeba było wydać za mąż, a tu się nikt a nikt nie trafiał. Nadszedł sejm drugi, i ten zastał jeszcze księżnę w Warszawie; pan Ordyński znowu posłował, ale teraz zmieniły się wielce okoliczności, i gdy młody człowiek przyszedł z atencją do księżnej wdowy, choć się jej nie podobał, że był czysty polonus, z rodzaju tych któremi ona się najbardziej brzydziła, bo nawet po francuzku nie mówił, przecież dowiedziawszy się o majątku, o koligacji, imieniu, znaczeniu, bardzo go zaraz łaskawie przyjęto.

O Radziwiłłach i Potockich ani już pomyśleć było można — zwrócono się więc do Ordyńskiego, którego posiadłości i senatorską prozapją ktoś księżnej pani wyliczył. Piękna księżniczka z uśmiechem przyjmowała pana posła, a Niemka choć usta gryzła i zmuszona mówić z nim po polsku, szwargotała jak na mękach, przecież wysilała się na uprzejmą rozmowę, by mu wielki swój rozum, choć w niezgrabnej szacie ukazać. Nie potrzebujemy mówić jakiej to oliwy dołało do ognia, którym stale tłało pocziwe serce starościca; jednakże ledwie niewyraźnie naglony i naprowadzony by się stanowczo z intencją swoją objawił, bez matki posunąć się nie śmiał tak daleko. Wiedziała księżna o powodach milczenia, a gdy poseł wzdychając do domu ruszył, bijąc żelazo póki gorące, pojechała za nim do dóbr swoich wołyńskich niedaleko Ordyńca i dzisiejszej siedziby ich położonych, choć dotąd nigdy w nich nie bywała.

W kilka tygodni potem poszóstne paradne jej cugi wiozły ją z wizytą do naszej starościnej, o której ani wątpiła, że ją potrafi blaskiem swym zaćmić i do czego zapragnie nakłonić. Ale starościna nie łatwą była do ujęcia czczem słowem i pozorami jakimś, umysł to był wyższy, instynkt szczęśliwy i niechybny w poznawaniu ludzi; — przyjęła księżnę poważnie, godnie, grzecznie, ale nie dała się olśnić ani niemiecko-francuzkiemi tonami, ani wyblakłą wielkością; — matka zresztą i córka zarówno się nie podobały jej. A już jej byli dworscy coś szepnęli, że syn w Warszawie do księżnej uczęszczał, co nie w smak poszło staruszce.

— Będę się modlić, żeby to Pan Bóg od naszego domu odwrócić raczył — powiedziała sobie w duchu — a na co nam te szwabskie gołe splendory i zamorskie koligacje! Wolałabym prostą szlachciankę, co by mi pocziwie kądziel przędła, a uczyniła go szczęśliwym i spokojnym, niżeli te niemieckie czupiradła, którym wieś nie smakuje i nasz obyczaj śmierdzi a pieniądze tylko polskie pachną.

Polecał zaraz starościc do księżnej do Głuszy, dowiedziała się matka, milczała, aż gdy odwiedziny te powtarzać się zaczęły, postanowiła wreszcie otwarcie się z synem o tem rozmówić. — Próżne były rady, przestrogi i lzy nawet macierzyńskie — serce głośniejsze od nich mówiło. Starościc kochał, kochał szalenie, po staropolsku, bez westchnień, bez łzów i wykrzykników do natury, gwiazd, księżycy, ale stale, uparcie, cicho i namiętnie.

Księżna która się na miłości znała doskonale, boć sama miała miejsce zaszczytne w sławnej *Saxe galante*, dostrzegłszy co się święci, zasiadła w Głuszy naumyślnie pod nosem pani Ordyńskiej. Zawołano na sejm znowu, bo ciągle próbowano, czy się też który nie uda, pojechał posłem starości, powlokła się wdowa z córką do Warszawy, a biedaczka Ordyńska płakała desperując nad jedynakiem.

Panna była zupełnie obojętną dla pięknego chłopca, który dla niej przywyklej fryzury, do cudzoziemskiego stroju i obcego języka, wydawał się nawet trochę nieokrzesanym i śmiesznym. Serce jej spało jeszcze, matka dysponowała, rozum kazał słuchać, przyszłość obiecywała swobodę, więc mu nie była przeciwną. Starej zaś księżnie pilno potrzeba było zięcia i dla majątku i dla tego, by nim znowu kierując po swojemu, do polityki i intryg dworskich powrócić, do których na starość coraz bardziej tęskniła.

Wytrzymałszy dopóki mógł w milczeniu, starość oświadczył nakoniec matce, niepokonaną swą miłość ku księżniczce. Słuchała go poczciwa wdowa wzdychając, a nareszcie gdy się jej do nóg rzucił, odpowiedziała podnosząc go:

— Wiesz kochanie moje, że mi to oddawna nie tajno! umyślnie milczała od pierwszej naszej rozmowy i perswazji, i mówić o tem nie chciałam. Jesteś młody trudno z sercem twojem mówić rozumnie, a zważ tylko do czego to prowadzi. Nie nasze to, choć nazwisko nosi polskie, wychowane nie dla nas, gardząc nami, zepsute dworszczyną. Matka, Boże odpuść, za życia księcia, nieboszczyka, w jego butach chadzała, zechce się jej i wścincie włożyć, córka zwyczajnie jak córka, niedaleko padnie jabłko od jabłoni. Majątku pasz, a fonfrów co niemiara, splendorów się chce, a pracy nie lubi. Kochaneczku to nie dla nas ta pupka norymberska!

Prawił tam co mógł zalecając pannę starości, ale argumenta macierzyńskie zachwiać się tem nie dały, ona mówiła jak było, on przyrzekał przyszłość której się tylko domyślał.

— Latają oni za tobą i głowę ci przewrócili, co mnie już nie mało leż kosztuje, zrobisz sobie co zechcesz, ale pamiętaj żebyś nie żałował. I to ci jeszcze powiadam w dodatku, że jeśli się ożenisz z księżniczką, ja mojego dożywocia i deportatów ci nie ustępuję, dobrze choć to na złą godzinę zachować.

Starość różnie koło matki chodził, aż przecie tyle wytupał, że już nie pochwalając, przynajmniej się nie sprzeciwiała. Pojechał więc z oświadczeniem, które chciwie przyjęto — sam pan wojewoda był swatem.

Księżna jejmość jednak ogłędna matka, zaraz szepnęła o donacjach, zapisach, o prawie, ofiarując ze swojej strony bardzo liberalnie całe dobra dziedziczne, byleby z nich sumą jaką ją kontentowano.

Na oko były to wielkie rzeczy, klucz bowiem Głuski stanowił rozległą majątność, ale na tem tyle było sum, legatów, długów, zastawów, procesów i różnych ciężarów, że obrachowawszy je, zostawało ledwie z czego trzecią część zapewnionego sobie przez księżnę dochodu opłacić. Starościna twardo stanęła w interesie — posłano z obuch stron prawników dla umowy o intercyzę, pilnowała się matka żeby nic nadto co bezpiecznie postąpić mogła, nie puścić z rąk; księżna ze swej strony żądała koniecznie rezygnacji dożywocia i zakwitowania z deportatów, ale pani Ordyńska przy swoim stanąwszy, odmówiła tego otwarcie.

— Chętnie bym się zgodziła — odpowiedziała swemu prawnikowi — pozostać na łasce syna, bo serce jego wiadome i bardzom go pewna, ale kiedy się idzie pod panowanie tych Sasów, którzy go niechybnie osiodlają, powiem waści szczerze, że z rąk im patrzeć nie będę; muszę pilnować, żeby się co zostało na złą godzinę, bo oni to z wiatrem puszcza.

Księżna sądząc że fochami wdowę przekona, spróbowała zerwać traktację — starość aż struchlał, ścisnął matkę za kolana, padał jej do nóg, nic nie pomogło.

— Dla twojego szczęścia z chęcią bym moje dała, rzekła z powagą stanowczo, ale dla ich chciwości i fantazji nie uczynię nic. Bądź zresztą spokojny, strachy na lachy, zobaczysz jak się prędko udobruchają.

Jak przepowiedziała tak się stało, księżna widząc że pani Ordyńskiej nie zje w kaszy, dała się ulagodzić, zezwoliła na taką intercyzę jakiej żądano, niby dla szczęścia dzieci robiąc ofiarę, i poczęła tylko naglić o przyspieszenie wesela.

Starość był w gotowości, dzięki opiece macierzyńskiej, która wszystko powoli oddawna przysposabiała na akt weselny, choć go teraz łzami oblać miała.

Odbył się ślub wystawnie bardzo, a że małżonek ani tytułu, ani znaczenia nie miał w stolicy, poleciała zaraz księżna do Warszawy wyrabiać mu wakujące podczaszostwo, które z przed nosa zasłużeńszemu chwyciła, nie wiem co tam za nie obiecawszy.

Zatem poszło że pan podczaszny nowy musiał jechać do Warszawy, a za staraniem matki żony, która tysiące wynajdowała powodów, by mu nie dać na wieś powrócić, zamieszkał powoli w stolicy. Nieznacznie otwarto dom świetny, na wielką stopę, zawładano zakochanym i tak go dobrze spętano jak nieboszczyka księcia; z tą tylko różnicą, że w sprawach publicznych, wpływ kobiecy nigdy go nie mógł z prawej drogi sprowadzić.

XI

Matka tymczasem gospodarowała na wsi, sama jedna siedząc, gdyż synowi rzadko do niej dojechać pozwolono, wdychała nad nieszczęściem, które z góry przewidywała, twarzą wesołą na pozór, kryjąc głęboki smutek.

Umarł wreszcie August III a z nim stosunki księżnej i ostatek jej znaczenia i wpływów; młody król nowy wystąpił w całym blasku; a jedną z najgorliwiej poklaskujących przy jego koronacji i usiłujących zwrócić na siebie oko Najjaśniejszego, była pani podczaszyna. Jej piękność, młodość, cudzoziemskie wykwiłtne wychowanie, dowcip świetny, nad wszystko wdzięk którym obdarzoną była, a który nie jedną już równie gwałtowną jak podczaszego wzbudził namiętność, wkrótce u nóg pięknej pani ugięły królewskie czoło, tak chętnie schylające się na skinienie kobiece.

Zimne dotąd i nietknięte serce pięknej pani naszej, które z uczucia żarty sobie stroiło, pierwszy raz wzruszyło się prawdziwie. Począwszy od prostej, obrachowanej zalotności, skończyła na przywiązaniu namiętnem.

Ona wkrótce już nie widziała w nim monarchy ale kochanka. Poniatowski co dopiero pod koniec życia potrafił się stale przywiązać do marmurowych wdzięków ostatniej ulubienicy, przeląkł się tej miłości, gdy o niej wątpić nie mógł. Lubił on kobiety ale kochać nie umiał; Sybaryta przeszedł zrywając kwiaty po drodze życia i rzucając je zwiędłe pod nogi. Podczaszyna stała się wkrótce pośmiewiskiem swych rywalek, które nie pojmując jak kochać można było tak zapamiętałe i biorąc szczerą miłość za niezręczną komedią, naśmiewały się z biednej obłąkanej.

Działo się to wszystko tak, że podczaszny przywykł do form zalotności powszedniej będącej w obyczajach, niedopatrzył się niczego, nie umiając przypuścić nawet by mu kto skarb jego chciał wydrzeć. Usłużni dopiero przyjaciele otworzyli mu oczy, wskazali postępowanie żony, i naprowadzili na przekonanie, że serce jej nie należało do męża.

Biedny podczaszny zrazu uderzony tem odkryciem jak piorunem, osłupiał, chciał szukać zemsty, a widząc ją niepodobną, zadrzał nad ogromem swego nieszczęścia. Przypomniali mu się za późno — prorocze słowa matki!

Wyspięgowawszy raz posłańca królewskiego i przejąwszy przez sługi bilecik, wpadł do żony zajadły, wściekły boleścią i rozpaczą, tak że przestraszona uciec od niego musiała. Sądząc że ją zabije.

A że się wówczas nic nie utaiło w Warszawie, bo chciwie skandalów szukano dla zabawki próżniaczej, tegoż wieczora wiedziała stolica o tragicznej scenie. Podczaszny ochłonawszy jeszcze, poleciał do zamku, wyprosił sobie sekretne posłuchanie u króla, a tam jak się znalazł, nikt nie wiedział. Widziano go tylko że wyszedł poruszony bardzo, a król długo zdawał się zamyślony i zafrasowany.

Tegoż wieczora choroba rzuciła nim o łóżko, na pierwszą wieść o niej przybiegła matka w rozpacz, zwołano doktorów, ale pomimo największych starań, w dziesięć dni podczaszny krótkie swe życie zakończył, zostawując syna w kolebce i młodziuchną wdowę. Grób ten powinien był rozdzielić na wieki podczaszynę z Poniatowskim, ale miłość tej kobiety nie patrzyła granic, nie pojmowała przeszkód, nie ważyła przyzwoitości. W żałobie jeszcze, rada swobodzie, w więzach swych utrzymać starała się Poniatowskiego i może gorącością uczucia, może samem zgorzeniem drażniącym już dość zmartwiałego króla, na czas jakiś przyciągnęła go ku sobie.

Myśleli wówczas niektórzy że się król przywiąże, że ta miłość nareszcie, po tylu a tylu kapryсах, przejdzie jeśli nie w namiętność to przynajmniej w nałóg. Inaczej się stało. — Poniatowski kochać nie umiał sercem, nęciło go tyle różnobarwnych oczu i tyle coraz

odmiennych piękności, że się im oprzeć nie umiał. Gwałtowne sceny na które narażała go zazdrość pod czaszynej, co raz bardziej zaczęły zrażać od niej, każąc się obawiać niewoli; usuwał się, oddalał nieznacznie, szukał powodów opuszczenia, nareszcie całkiem ją porzucił.

Co się tam na ówczas działo z kobietą która przegrała wielką stawkę swego życia, wypowiedzieć trudno; kilka tygodni mówiono po całym mieście o jej rozpaczach, znajdując ją *nienaturalną*, potem znikła nagle ze świata ówczesnego i mówić o niej przestali — bo co z oczów to z myśli. Dokąd się wówczas udała nie wiadano nawet, błędziła w początku po kraju jeżdżąc na pozór bez celu, byle w miejscu nie siedzieć, potem z synem wyjechała za granicę i tam zamieszkała lat kilka.

Majątkiem tymczasem rządziła ciągle starościna Ordyńska, nie tylko swoim, ale i pod czaszynej, bo na nim już znaczne miała sumy spłacane wierzycielom.

Dopominała się ona wnuka, a że syn dosyć obojętnej matce nie wielką był pociechą, odesłała go pod czaszyną w Włoch do babki, w zamian otrzymawszy potrzebną jej na dalsze podróże sumę. Kilka tak lat Michał pod okiem staruszki wychowywał się w Głuszy, dopóki znów pod czaszyną znudzona wszystkim: Paryżem, Rzymem, Neapolem, Florencją, nie zleciała jednego poranku jak z obłoku do starego cichego domostwa.

Palily ją jakieś fantazje, któremi się durzyła niemogąc zaspokoić, z kolei stawała się artystką, literatką, ogrodniczką, filozofką, i odrzucała co chwyciła zaledwie skosztowawszy. Przybywszy do Głuszy poczęła przebudowywać wszystko, przestawiać cały pałac ojcowski, zakładać ogrody, sprowadzać Francuzów, Włochów, Niemców, kupować książki, posągi, medale, osobliwości pod pozorem wychowywania syna, w istocie szukając lekarstwa w swym smutku.

Michał teraz począł się wychowywać częścią przy babce, częścią u matki, która postanowiła na przekór staruszce, wykształcić go na wzór cudzoziemski. Powierzyła więc dziecie trochę podrosłe niejakiemu Labe Poinso, który z Francji podobno uciekać musiał z powodu ciężących nad nim podejrzeń o popełnienie niewyjaśnionej jakiejś zbrodni. Tak mówili nieprzyjaciele jego, on zaś wspominał tylko o prześladowaniach politycznych!

Poinso był wcale niepospolitym człowiekiem, choć może serce i charakter nie odpowiadały umysłowym jego zdolnościom. Obdarzony żywym i łatwym pojęciem, pamięcią zadziwiającą i darem chwytania a obracania na swą korzyść wszystkiego co go w jakikolwiek sposób dotknęło, wykształcony był naukowo na wiek swój niepospolicie, i gdyby nie duch czasu co w nim grał najgłośniejszy, byłby zdolny pokierować wychowaniem młodego człowieka. Ale zwykle tego rodzaju ludzie nie mają swojego zdania, a przesadzają opinie wieku którego są wyrazem najpospolitszym — tak było i z nim, nikt może dobitniej, silniej i z większą egzageracją nie przedstawiał XVIII wieku.

Umiał on po trosze wszystkiego, a nade wszystko chwycił ogólne nauki zarysy, z pomocą których przy niewielkiej pracy, mógł w krótkim czasie przysposobić się do wykładu niemal każdej umiejętności. W niczem wprawdzie jaśniej i lepiej nad swoich mistrzów nie widział, ani dalej zaszedł, ale w ślad za nimi doskonale zdążył. Z pomocą książki na zawołanie był astronomem, matematykiem, historykiem, latinistą, hellenistą, numizmatykiem, archeologiem, botanikiem, mineralogiem, czem było potrzeba. Słowem *ex libro doctus* jak to dawniej zwano. Oprócz tego miał czas nabrać talentów — śpiewał, grał na klawicymbale, malował nieźle guaszem, wykrawywał sylwetki, bazgrał dekoracje, w potrzebie dyrygował orkiestrą i występował jak aktor na teatrze amatorskim.

Był to człowiek uniwersalny, ale jak większa część tych uniwersalnych geniuszów; nie zgłębił nic i ślepo szedł kolejami wieku swego, po kolana w jego błędach.

Czytanie dzieł pseudo-filozoficznych, które właśnie w tej chwili świat cały aż do głów koronowanych przyprawiały o gorączkę, i jemu pomąciło zdrowsze wyobrażenia zaczerpnięte w pierwiastkowym wychowaniu religijnem. Była to godzina w której każdy miał sobie za obowiązek coś burzyć, gdyż wszystko niemal zwano przesądem, a wzdychano do stanu natury, usiłując do niego powrócić, by się w niem obmyć jak w źródle.

Poinso stał się zapalonym zwolennikiem encyklopedystów, a choć nosił dla jakiejś przyzwoitości i ceremonii suknię duchowną, dawno już nie miał wiary, i szczególnym był materialistą. Dla formy tylko mówił czasem o istotności Najwyższej, ale nigdy nie wspominał Boga, z obrzędów wiary wyśmiewał się dowcipnie, czerpiąc krytykę i koncepta w dykcjonarzu Voltair'a, który był dlań skarbnicą nieprzebraną. Można sobie wyobrazić,

jak taki człowiek wychowując dziecię, wpłynąć na nie musiał, zwłaszcza że szal prozelityzmu ożywił go do tego stopnia, iż żadnej nie minął zrzeczności nawet z obcymi, żeby im swych zasad nie próbował zaszczepić.

Michaś wprost od religijnej, pobożnej i duchem chrześcijańskim przejętej babki, dostał się w jego ręce. Ponsot w początku nie mógł sobie z nim dać rady, tak go znajdował źle i po barbarzyńsku prowadzonym, tyle w nim spotykał przesądów i zakrzewionych wyobrażeń fałszywych. Chłopiec między nim a babką w początku nie wiedział co począć, w co wierzyć, kogo słuchać; trwało to czas jakiś, nareszcie pod czaszyna będąc przekonaną o niezmiernej wyższości Labe Poinso, odebrała go gwałtem od starościny, i oddała całkowicie w ręce Francuza.

Staruszka płakała rzewnie, ale się temu oprzeć nie mogła, a Michasiowi któremu z Neapolu matka przywiozła imię Alfiera, zakazano nawet chodzić do babki do oficyn, czego zresztą niebardzo słuchał.

Dwa więc całkiem przeciwne sobie duchy ogarnęły umysł dziecięcy — z jednej strony duch wiary głębokiej, do fanatyzmu prawie, a raczej do ascetyczności posunięty, czasem surowy do zbytku, to pojmujący że niema nic mało-ważnego gdzie chodzi o przyszłość Niebieską, przywiązany do form i praktyk, gdyż żadna forma czczą nie jest, a duch bez niej istnieć nie może — z drugiej, duch burzliwy wieku co niszczył i wywraçał nie patrząc gdzie się zatrzyma, duch sceptycyzmu bez granic, zimnego rozbioru, rozumowania i materjalizmu, co bojąc się by nie uwierzyć za nadto, wolał wszelką wiarę odrzucić. Dwa tak sprzeczne działania zachwiać musiały umysłem słabym i giętkim, a jedno z nich otrzymało wreszcie przewagę. Wpływ pobożnej babki był pierwszym, więc się głęboko zaszczepił, — nauczyciela, częściej i dłużej się powtarzał, wlewał z każdym słowem nauki. Na dnie więc pozostał pierwszy odcisk młodości, ale powierzchownie zwyciężyło wrażenie ostatnie. Michał który z początku ze wszystkiego się babce spowiadał i o wszystko co go drażniło ją pytał, później zamilkł już i przyjął za prawdę co Poinso mu powiedział. — Wszakże głos jakiś wewnętrzny często się w nim odzywał wspomnieniami przeszłości.

Francuz dołożył starań około wychowania swego, a przyznać trzeba że mu z nim nie szło trudno, bo uczeń był ciekawy, pojętny, umysłu żywego, i do nauki ochoczy. Bóg go szczerze obdarzył w talenta i wrodzony ten spryt, który często bywa udziałem mierności, niekiedy zwiastunem niepospolitych darów. Tu chodziło tylko o uczynienie z niego dobrze wychowanego panicza; uczono więc wiele, ale bardzo powierzchownie, więcej dla świata niż dla niego. Że Michał nie miał gorączki pracy, popędu do poświęcenia się czemuś wyłącznie, a równie po trochę chwycił wszystkiego, Poinso uczynił go wkrótce czem sam był, na małą skalę, to jest uniwersalnym a płytkim polyhystorem salonowym. Przebiegłszy z nim pędem cały kurs nauk, przeczytawszy celniejsze arcydzieła współczesne, w których cały duch wieku się upostaciował — resztę rozmowami dowcipnemi dopełniał. Uczeń niestety, uwierzył w mistrza, a nadewszystko dał sobie wmówić, że cechą najwyższej mądrości było w nic nie wierzyć, co by się matematycznie dowieść nie dawało. Takim z rąk pana Poinso, utalentowany zresztą, wyrwał się już na świat młody chłopiec, myśląc tylko jakie go przyjemności, jakie szwały i rozkosze czekają w życiu swobodnem, które znał tylko z książek i romansów, a trochę od Francuza mówiącego otwarcie o dworze Ludwika XV i regencji. Wystawiał on sobie to życie całkiem nie po staropolsku, ale z francuzka.

Jeżeli kiedy surowsza myśl pracy, obowiązków, poświęcenia, doleciała uszu jego z ust starej poczciwej babki, dawał jej przelecieć jak naprzykrzonemu komarowi, licząc ją do tych starych przesądów, które encyklopedyści powalili na ziemię. Najpierwszym obowiązkiem zdawało mu się być szczęśliwym, największą pracą, trochę się przez grzeczność ponudzić, o poświęceniach zaś myślał że je przyjmować należy, ale ofiarować się z niemi nie uczuwał potrzeby.

Życie, życie — jak wieniec z róż, lilij i wonnego kwiecica, wydawało mu się zdała czarowną wiązką; niecierpliwie ręce wyciągał ku niemu, rwał się by zbliżyć doń i począć nareszcie używać. Co tam zawczasu marzeń, co dramatycznych scen przeleciało, gorejąc jak bengalskie ognie przez tę młodą główkę — ile uśmiechających się twarzy przemknęło w tych snach wieszczych, ile rączek białych objęło szyję jego drżącą, ile ust koralowych z usty spragnionemi się spoilo!!

Nigdy życie nie dotrzyma obietnic młodości — ale jakże ziścić je może, gdy na złość jemu, ta chwila szalona tak szafuje, tak rzuca, tak sypie przyrzeczeniami bez końca!! W jednej godzinie nadziei wyciska treść kilku ludzkich żywotów; — i dziwnoż-że potem, gdy rzeczywistości dotknąć się przyjdzie, chłodnej, nudnej, ospałej, bezbarwnej, ręce opadają, pierś narzeka, oko płacze?

Michał marzył już rozpasany szalenie — a zamiast okiełznać ten popęd niebezpieczny, wszystko go dokoła podbudzało, nikt hamować nie myślał.

Galerja obrazów składała się z samych scen miłości, rozkoszy, zbytku — tysiące twarzyczek uśmiechały się z jej ram złoconych; — w księgach które czytał, swawolne myśli latały jak pstre motyle, — rozmowy Poinso'ta mało kiedy nie zaczęły o jakie zgorzenie lub wypadek dający głęboko do myślenia młodemu chłopcu; sama historia nawet pojęta jak ją wiek XVIII rozumiał i wykladał, była podżegaczem namiętności, usprawiedliwieniem wszystkiego złego, koniecznością charakteru, temperamentu lub losu.

Niecierpliwa żądza poczęcia nareszcie tego życia, które sobie wyobrażał tak pełnem wrażeń i rozkoszy, zachmurzała czoło młodego chłopca, zzymającego się na to wiejskie więzienie, w którym go dotąd trzymano. Biedny, nie pojmował jeszcze że najśłodszymi chwilami są właśnie te, w których się wszystkiego spodziewamy, nic jeszcze nie otrzymawszy.

Zbliżała się nakoniec godzina upragnionej emancypacji, a choć mu zapowiedziano że w pierwszym roku pobytu jego w Warszawie Labe Poinso'ta pozostanie przy nim dla towarzystwa, nie wiele się o to troszczył pan Michał, pewien będąc że powolny nauczyciel w niczem sprzeciwiać mu się nie zechce.

Dwa powody skłoniły podczaszynę do skorzystania z przyjazdu królewskiego i zaproszenia N. Pana do domu swego; chciała ona raz jeszcze widzieć tego, którego ukochała silniej i stalej niż w owym wieku było zwyczajem, chciała spróbować czy to uczucie które zgasiły lata nie wstanie z martwych choć na krótką chwilę; czuła się jeszcze piękną, ale na brzegu tej przepaści która starością się zowie, ostatniem wdzięku pragnęła błysnąć raz jeszcze. — Jako matka także myślała o synu, i przejeżdżającemu monarsze przedstawiając i polecając Michała, nie wątpiła że mu tem przyszłość utworuje.

W Warszawie jeszcze odebrał król list pani podczaszynej, a pamiętny dawnych stosunków, przez wdzięczność, przez litość, przez grzeczność wreszcie, a trochę może przez ciekawość, zgodził się na usilne prośby dawnej kochanki. — Głusza też niewiele była mu z drogi, miłą czy półtóry tylko zboczyć do niej trzeba było jadąc do Wiśniowca. Tym sposobem podczaszyna miała zaszczyt przyjmować u siebie ukoronowanego gościa, ale gorzkiemi opłakała go łzami, nieotrzymawszy nawet jednego wejrzenia, coby dawne przypomniało uczucie.

XII

Po wyjeździe króla, po rozsypaniu się gości spieszących każdy w inną stronę z opowiadaniem odmiennem, pałac w Głuszy długi czas smutną się pustką wydawał. Spoczywali wszyscy marząc, wzdychając lub ze smutków przędąc nowe nadzieje. Podczaszyna płakała. O! niczem to jeszcze niewiara, opuszczenie w młodości, gdy nie liczym lat, godzin, chwil zbliżających nas do siwizny, piszącej na ostygłej głowie: — wygnany jesteś z raju! ale na krańcu lat namiętnych, stracić skarb ostatni do którego serce przyrosło — to rozpacz często nie przeżyta, zabijająca jak trucizna! Ona w życiu całym, nie kochała nikogo prócz niego; dziwną anomalią w wieku zepsucia i płochości, była stałą i wierną, na chwilę nie zajął ją kto inny — a co leż wylała nad listami donoszącemi jej o każdej nowej Poniatowskiego intrydze, to tylko jedno jej serce policzyć mogło. Nieszczęśliwe to było przywiązanie do człowieka, co w kobietach szukał rozrywki nie serca, którego równie zajmowały starościna Opecka, i żydówka Czajka, jakaś pani kasztelanowa i pani Lhuillier, wojewodzicowa Mścislawska, piękna Elja, piękna młynareczka, i tyle i tyle innych niepoliczonych jednodniowych bogiń i królowych! Jej się do końca zdawało że do niej wrócić powinien, bo ona go jedna kochała. Ale Stanisław August dawno był o krótkich i przelotnych z nią stosunkach zapomniał.

Była jeszcze piękną, niosła mu wspomnienie lat szczęśliwych, myślała że go poruszy, że oczaruje, pociągnie choćby tylko na krótką godzinę; — on zbył ją słodką, powszednią

grzecznością, podarkiem, pochlebstwem, a ile razy oko jej spotkało się z królewskim wejrzeniem, wyczytała w nim tylko przestרח jakiś i lodowate zdrętwienie wyczerpanego człowieka, który sercem zamarł na wieki. Gorzkie też były lzy podcześnie, bo z nimi sphywała ostatnia życia nadzieja, a poczynala się bezcelna, nudna starość. Kochała syna, ale sercu jej rozdrażnionemu ustawicznem pragnieniem, miłość ta pocziwa wystarczyć nie mogła; cieszyła się nim, nieumiejąc samem zaspokoić macierzyństwem.

Już jasno marcowe słoneczko świeciło w pustych salach pałacu, gdy z pokoju swego wyszła powolnym krokiem podcześnie blada, bezmyślna, zrozpaczona prawie, szukając w ruchu roztargnienia. Wszystko jeszcze po trudach tygodniowych przygotowań we śnie odpoczywało, fizjonomia tylko pokojów i rozrzucenie mebli świadczyły o gwarze jaki tu niedawno panował. Krzesła rozmawiały jeszcze z sobą pozwracane charakterystycznie, stoliki pełne były fraszek które oglądano; na jednym leżało pudełko z naszyjnikiem z kameów, na innym rzucony order Ś. Stanisława — pamiątki królewskiej bytności.

W sali jadalnej, w przyległym gabinecie woń pijatyki dawała się czuć jeszcze, a porzucane narzędzia muzyczne, drzemiąc odpoczywały na ziemi. Gdzie niegdzie zmięta firanka, oberwany liść z wazonu, zgubiona chusteczka, byłby jakby jakichś scen tajemniczych świadectwem.

Podcześnie z niemniejszym uczuciem spojrziała na ten teatr ostatniego dramatu swego życia, jak niegdyś na pompejańskie wykopalisko.

I tu i tam wrzawę, wesele, śmiech, pieśni, замуrowało milczenie na wieki. Dzień ten ostatni poleciał w przeszłość na zawsze, pozostawując za sobą szczątki tylko, okruszyny, zwietrzałe wonie i trochę w sercu boleści.

Tylko w sali niebieskiej tańczyły jak wczoraj obojętne bóstwa, uśmiechając się zawsze jednostajnym uśmiechem do smutnej kobiety, która od tego obrazu mitologicznej radości ze wstydem odwróciła oczy.

Posunęła ręką pudełko z naszyjnikiem jakby je z przed siebie sprzątnąć chciała, spojrziała na Corregia który się lepiej od niej królowi podobał, westchnęła i rzuciła się na krzesło.

— Co począc z sobą? zawołała w duchu — gdzie się podziać, czem wyschłą próżnię serca zapełnić?

I jak w pustym gmachu, na wołanie rozpaczliwe, echo tylko przedrzeźniając odpowiada, tak w pustce jej serca rozległo się stokroć pytanie bez odpowiedzi.

W tem drzwi się otworzyły, Bóg zsyłał jej znowu żywe rozwiązanie zadania: — wszedł syn uśmiechnięty, rozmarzony, szczęśliwy, śledząc na licu matki smutku, którego wprzód był nie pojął, nie rozumiał teraz.

Podcześnie podniosła głowę usiłując go zwieść udaną wesołością, którą odpowiedziała na powitanie syna — ale źle grała komedję.

— Widzisz kochana mamó — rzekł Alfier, że wszystko się nam najśliczniej udało — powitanie, kantata, przyjęcie, król był wesół i zostawił nam dotykalne dowody swego ukontentowania, mogę się więc spodziewać jak najpomyślniejszych w Warszawie sukcesów!

— Prawda kochany Alfierze, wszystko poszło jak najlepiej, zimno odparła podcześnie — to też widzisz że już spokojna.

— Ale czegoż jeszcze smutna?

— Moje dziecię, wszak rozstać się będziemy musieli?

— Rozstać? prawda kochana mamó, ale nie na długo, i nie daleko będziemy od siebie.

— Niedaleko?? nie wiem, szepnęła matka której myśl jakaś szukania spokoju pod obcem niebem snuła się po udręczonem sercu — ja podobno do Włoch pojedę, ty do Warszawy, i Bóg wie — kiedy się zobaczymy.

— Do Włoch? to zapewne na kilka miesięcy?

— Na kilka tygodni, na miesiący kilka, na rok, na dłużej, któż to wie wyjeżdżając?

I znowu smutnie spuściła głowę milcząca, — Alfier tymczasem którego po młodemu paliła potrzeba wypowiedzenia co mu na sercu ciążyło, chodził i mówił żywo:

— Król! król niezrównanej dobroci człowiek, nieprawda mamó? co to za przyjemność? jaka słodycz? uśmiech jaki? ile powagi! ile nauki! jaka spokojność na tem jasnym czole?

Matka spojrziała na syna z politowaniem prawie.

— Dziecko! odpowiedziała cicho, jakże ty jeszcze mało znasz ludzi! jak ciebie oszukać łatwo! nie widziałeś tylko to co było na wierzchu. On spokojny! on wesoły!

— Tak go to zajmowało wszystko — obrazy, książki, zbiory — przypatrywał się, unosił!

— Proste to roztargnienie które mu na chwilę dozwala o ciężkich boleściach zapomnieć.

— Miałżeby być nieszczęśliwy?

— Ma nieprzyjaciół, a najstraszliwszego w samym sobie — życie mu tak zbrzydło, niema serca.

— Mamo, uśmiechnął się młody człowiek, zdaje mi się że się nieco uprzedzasz? Ja go znalazłem pełnym najpiękniejszych uczuć.

Matka uśmiechnęła się znowu, widać nie chciała prowadzić dalej rozmowy, powstała z krzesła, wskazała na obraz Correggia.

— Pamiętaj o tem Alfierze, każ go upakować i odwieść do Warszawy, nim król z Kaniowa powróci. Przepraszam cię, muszę pójść spocząć.

I wolnym krokiem, rzucając trochę zdumianego syna, odeszła do swego pokoju.

— Co to za nieszczęście postarzyć choć trochę, zawołał do siebie Alfier, kręcąc się i nucąc piosnkę stanąwszy przed wielkim zwierciadłem — wszystko się zaraz widzi jakoś fałszywo, smutnie! Ta biedna mama coby się miała cieszyć — tak teraz znużona, tak przybita, po prostu się musiała okrutnie zmęczyć! Miałożby to być i ze mną później?? A! nie! nie! nie rozumiem nawet jak można dobrowolnie stawać na takim punkcie żeby się nam świat z czarnej tylko strony pokazywał. Życie to tak słodka rzecz — niech żyje życie!!

Właśnie na ten z głębi serca rzucony wykrzyknik, boczne drzwiczki uchyliły się po cichu i wyskakujący kawaler Ś. Stanisława, ujrzał po za sobą ładną panienkę, która się z niego śmiała serdecznie.

— A panna Anna już wstała! zawołał nagle ją spostrzegłszy i nizki oddając jej ukłon.

— A pan podczaszyc widzę w przewybornym humorze!

Ale opiszmy choć króciuchno, to śliczne zjawisko, któreśmy panną Anną nazwali. Była to szesnastoletnia ledwie, córka jedynaczka marszałka dworu podczaszynej, Sienińskiego, staruszka któregośmy niedawno poznali. Nie powiem żeby to był cud piękności, ale świeższej i ożywieńszej twarzyczki, w którejby oczy i usta dobitniej mówiły co się w sercu działo, trudno sobie wyobrazić. Ciemnych włosów i oczu, niewielkiego wzrostu, zręczna, silna, z barwą zdrowia na twarzy, z czarnem, śmiałem i pełnem energii wejrzaniem, Anusia miała rysy fizjognomii pięknej Polki — szlachcianki, córki żołnierza, przyszłej matki pokoleń rycerskich, dla której życie nie straszne, bo krzyż w myśli i na piersi, wiara w sercu, mężstwo w łonie — zbroją na wszystkie przygody.

Śmiała się z jej ust i oczów młodość w całej krasie swojej, ufność w niezachmurzone jutro i jakieś lekceważenie przyszłości, oczy biegały figlarnie, usta zdawały się nieumieć otworzyć chyba piosenką. Przytem wszystkim na czole gładkiem, marmurowem było i trochę dumy i trochę wiary w swe siły.

Panna Anna wzięta na wychowanie naprzód przez panią starościnę, która ją pochylała prawie na równi z Michałem, zostawała przy niej od dzieciństwa; od roku zaś jakiś kaprys podczaszynej przyłączył ją do jej dworu i panien respektowych. Jedynaczka była u starego Sienińskiego, a ten skrzętnie zbierał grosiwo i wieści chodziły na dworze, że tam go niemało być musiało, bo stary bardzo skąpił, kapitałiki oddawał na procenta, i lada dzień mógł dobyć wioskę z kieszeni. Anusia była wielką ulubienicą starościnej, która obejść się bez niej dnia jednego nie mogła; a przyczyniało jej łaski i to, że dwór podczaszynej sfrancuziały wcale jej nie smakował, maniery jego przyjąć nie chciała i żartowała sobie z cudzoziemców którzy go składali, a najwięcej z Labe Poinot. Gdy inne już szczebiotały po francuzku, lub udawały, że choć trochę liźnęły tego języka, Anusia szczerze sobie z niego się prześmiewała i zaklinała że go się uczyć nie myśli, a choć ojciec byłby jej chętnie nowomodną sprawił sukienkę i na puder pozwolił, chodziła w staroświeckich jubkach i włosach jakie jej Bóg dał.

Anusia wychowała się prawie razem z podczaszycem, który niewiele od niej był starszy; — dawniej przed jednym obrazem mawiali pacierze, na jednym elementarzu czytać się uczyli, razem katechizm powtarzali, podpowiadając sobie wzajemnie; dziecinne ich serce

pierwsze się spotkały na świecy, młodość zastała ich już na przeciw siebie, tęsknota tych lat oboje razem powitała, — jak-że się pokochać nie mieli?

W początku było to przywiązanie dziecięce, potem miłość, która o sobie nie wiedziała, nareszcie przyszło to zjednoczenie serc czujących, że bez siebie żyć nie mogą, że są spojone na zawsze ręką Bożą.

Podczasyc myślał tak z początku, gdy się poczuł zakochanym, a potem? otwierający mu się świat, zatarł trochę miłość ku Anusi; poczynął się śmiać ze swych uczuć dziecinnych, a niekiedy dumał tylko jak z nich skorzystać i piękne dziewczę przycisnąć do serca, a jutro — porzucić. Inaczej kochała Anusia, która od razu widziała przestrzeń dzielącą ją od podczaszyca; nie obiecując sobie nic, nie rachując na niego, bo widziała jak szaleć poczynął; — jednakże przywiązała się do niego po cichu, namiętnie, tak, że w duszy powtarzała:

— Ja nigdy zamąż nie pójdę — on musi kiedyś, kiedyś choć na starość do mnie powrócić, gdy się przekona że na świecie przywiązańszego nie znajdzie serca. Będę z daleka poglądać na niego, czekać i modlić się.

Lecz ile razy pan Michał, który znał dobrze co się tam w sercu jej działo, chciał w imię praw dawnych i poufłości dziecinnej, choćby pocałunek wyprosić, Anusia stawiała mu się tak hardo, tak poważnie i dumnie, że się obawiał do niej przystąpić. Musiał się nauczyć ją szanować, ale szacunek ostudzał w nim namiętność i co dzień bardziej oddalał go od niej. Nie rozumiał on ani charakteru Anusi, ani jej przywiązania. Od niejakiego czasu nawet byli całkiem na zimno, a Alfier, z którego strony była wina, udawał sam zagniewanego, puszył się dumnie, niby mówić do niej nie chciał, a wściekał się w głębi, że Anusia z tego się śmiejąc, na nic nie uważała.

Było to bowiem dziewczę owych pocziwych dawnych czasów naszych, w których najsrozsza boleść jak tylko długo trwająca, godziła się z wesołością powszednią, spokojem i uśmiechem nawet. Cierpiało się z piosenką na ustach, popłakiwało ukradkiem, a w biały dzień przy ludziach, oczy i czoło wiały pogodą i rezygnacją.

Dziś więksi egoiści, wywodzim publicznie treny i żale nad sobą, nie tyle z bólu jak z próżności, żeby zmusić ludzi do litości, użaleń i zwrócenia na nas oczu.

XIII

— A! panna Anna już wstała?

— Podczasyc jak widzę w przedziwnym dzisiaj humorze.

— Jakże bym nie miał być wesoł i szczęśliwy? król mi dał Św. Stanisława, jadę do Warszawy, i nareszcie pokosztuję życia!!

Dziewczę rozśmiało się serdecznie.

— Boję się, żebyś pan z tem życiem tam nie spotkał się tak jak ten oficer kozacki, co to przeszłego roku był w Głuszy, ze szparagami — nie wiedząc od którego końca miał je poczynać.

— Panna Anna ma mnie widzę za takiego młokosa i...

— A uchowaj Boże! któż mówi młokosa? — przerwała Anusia — ja JW. podczaszyca mam tylko za dwudziesto-letniego (lub coś podobnego) kawalera, co marzy o Warszawie jak gdyby tam byli inni ludzie i inne jakieś życie, nie to co u nas. Naturalnie z takim sentymentem tam jadąc, to się przy rogatkach głowę straci.

— O! o! proszę bardzo nie lękać się o nią!

— Prawdziwie — poważniej trochę poczęła Anusia, spoglądając ukradkiem na niego — teraz już do pana ani przystąpić, ani pożartować, taki się z podczaszyca zrobił wielki statysta! a tak jeszcze niedawno kradliśmy razem kozuszki z kominka u starościnej.

— Pięknie nie dawno — odparł Michał — już ja tego i nie pamiętam!

— Wszak ci to, kto chce, i wczorajszego dnia bardzo łatwo zapomni — z urazą odpowiedziała Anusia usuwając się nieco.

— Panna Anna gniewa się na mnie? — zapytał podchodząc młody człowiek.

— Daj-że mi pan pokój! jak gdyby córka starego Sienińskiego mogła i śmiała gniewać się na syna pani podczaszynej — ruszyła ramionami — ale łza kręciła się w jej oczku.

— Gniewają się na siebie tylko równi, a słudzy jak ja wdychają i płaczą.

Była przy drzwiach za których klamkę już brała, gdy Alfier przykro uczuwszy cierpienie Anusi, posunął się ku niej żywo poruszony ostatnimi słowy, zapomniawszy powagi, którą chciał przybrać przed chwilą.

— Anusi! Anuleczku! — zawołał dawnym imieniem i głosem poczciwie drżącym, chwytając jej różową ale małą rączkę — poczekajże... co ci to, ty bo się gniewasz na mnie, ja cię muszę przeprosić.

— Mówiłam panu, że choćbym chciała, gniewać się nie mogę.

— No dosyć tych żartów dziecko! pogódźmy się po staremu, chcesz? przyznam się że jam winien, odpokutuję jak każesz, ale bądźmy z sobą znów jak za dobrych naszych czasów.

— Dobre czasy już minęły! — westchnęła Anusia.

— Ale jeszcze mogłyby powrócić!

— O! nie, nie! nigdy! nigdy! panu już spieszo do innych lepszych czasów, a mnie nie do tego idzie. Tyle to wesela co w dzieciństwie.

Anusia mówiąc to, trochę odstąpiła odedrzwi, podniosła oczy czarne i wzrok jej spotkał ogniste wejrzenie Alfiera.

— Tem bardziej — rzekł uśmiechając się — kiedy, jak mówisz czasy te wrócić nie mogą, czemuż ich choć dniem jakim nie przedłużyć — nie gniewaj się na mnie, a mówmy z sobą jak dawniej.

— Musiałabym zacząć od połajania — szepnęła Anusia.

— No to zacznij sobie i łaj jeśli ci to potrzebne na co, ale potem winę mi darujesz.

— Z warunkiem, że się nie powtórzy.

— Nigdy!

— Pewnie?

— Jak babunię kocham, to stara przysięga.

— Teraz ona może także spłowiła dla pana.

— O! nie! nigdy — z jakimś wzruszeniem serdecznym odpowiedział podczaszyc spoglądając w oczy Anusi, która się zdawała go badać — nie myśl żebym już był tak złym i płochym; nie przestanę kochać, do kogom się przywiązał w dzieciństwie.

— I bądź pan pewien — cichym głosikiem odezwała się Anusia, że nie znajdziesz na szerokim świecie przywiązańskich serc do siebie nad te, co ci twą pierwszą młodość przypomnia. Ja wiem — dodała ze łzą w oku, że przepaść nas rozdziela, wiem, że i tych kilka słów powiedzieć bym nie powinna, ale... a! myśl pan sobie jak chcesz.

Nie dokończyła, zarumieniła się, poczęła uciekać ku drzwiom znowu. Michał poskoczył za nią, pochwycił i zbliżył usta do rozognionej smutkiem jej twarzy.

— Znowu! — zawołała surowo odwracając się Anna do odskakującego podczaszycy. — O! pan mnie nigdy nie zrozumiesz!

W oczach jej gniew pałał dumny.

— Przepraszam! przepraszam na klęczkach — doprawdy nie wiem jak się to stało, ale nie mogłem się wstrzymać — chciałem znów dobre nasze czasy przypomnieć.

— Nie, te nigdy nie wróć! — smutno powtórzyła Anusia — jak ta wiosna co minęła, nie przyjdzie już więcej.

— Ale się zaczyna druga?

— Ta się panu rozwinie w Warszawie — odpowiedziało dziewczę, chwyciło za drzwi i znikło.

Michał pozostał chwilę jak przykuty do miejsca, ruszył tylko ramionami...

— Dziwne stworzenie — rzekł w duchu — takie to zapalczywe a dumne! Co ona myśli? już ciż nie roi żebym się z nią miał żenić!

— A! a! to by było zabawnie! biedna Anusia!

Przeszedł się kilka razy zamyślony po pokoju.

— A jednak, rzekł znowu, smutno mi, bardzo smutno bez niej będzie, czuję, że zapomnieć ją trudno, ale to dzieciństwo, potęsknię, powzdycham i jakoś to minie. — Począł myśleć o czem innym, ale głos Anusi tętnił mu w uszach, wzrok Anusi patrzył nań ze wszystkich obrazów, ciągle ją, i ją tylko widział przed sobą.

— Znajdziemy się przecie w życiu! rzekł pocieszając się po chwili, i wyszedł rozmazony. Nie wiedział jak zgadł trafnie, rzucając na wiatr te słowa.

XIV

Wkrótce zaczęto robić przygotowania do wyjazdu podczaszycy, a matka jego równocześnie wybierała się także do Włoch, odprowadzając syna do Warszawy. Pałac w Głuszy po kilku dniach świetnych, które go uczyniły historycznym i na zawsze pamiętnym w dziejach okolicy, opustoszczyć miał znowu na długo i pozostać zamieszkanym tylko przez starościny, która modląc się i dumając, czekała nieprzybywającej śmierci. Dla niej to oddalenie się wnuka, ostatniego węzła co ją z życiem łączył, było jakby pierwszem śmierci dotknięciem; wiedziała, że o niej zapomnieć musi wychowaniec; w zgiełku do którego pędził z takim upragnieniem, czuła, że nikt się już nie odezwie do niej, że w grobowej ciszy przyjdzie jej liczyć długie dni jednostajne, dzielące jeszcze od wiekuistego spoczynku. Ale choć łaza czasem spłynęła po zmarszczonej twarzy, pacierz ją osuszała powoli. Dnie jej schodziły w tym monotonnym spokoju, który nie daje obliczyć czasu, ani upłynionych godzin rozróżnić; zdawały się niekiedy długie, bez końca a leciały tak żywo! było-to jakby przygotowanie do grobowego milczenia i spokoju.

Co tam dum i wspomnień długiego życia, którego dzieciństwo dotknęło bohaterkiej epoki Jana III., a zgrzybiałe dni toczyły się już pod Stanisławem Augustem! Bywało rozgada się staruszka, zapomni, uśmiechnie, a gdy najmniejsze słowo przypomni jej terażniejszość, usta zamykają się nagle, oczy zamgla, jakby na świat nowy patrzeć nie chciała.

Łatwo się domyśleć, że z podczaszyną i teraz sympatyzować nie mogły; odjazd też synowej nie trapił zbytecznie staruszki; choć mieszkaly w jednym domu, rzadko się widywały. Ale z podczaszyną trochę ruchu i ożywienia przybywało do Głuszy, która teraz zamrzeć miała zupełnie. Jedna Anusia ochotnie się zgodziła zostać ze starościny i ojcem — reszta dworu albo wyjeżdżała za panią, albo powracała do rodziców, do domów, do krewnych.

Starościna, która dotąd z praw swych nieustąpiwszy, rządziła majątkami Ordyńskich i dochody z nich pobierała, acz niemi hojnie bardzo szafowała dla wnuka i synowej, miała jednak zapas zawsze, i to może dawało jej pewną konsyderację u ludzi, a trochę poszanowania u podczaszynie.

Nigdy pomimo usilnych żądań i nalegań, nie chciała się zrzec praw do mężowskich dóbr i sum zhipotekowanych na nich, nie żeby chciwą być miała, ale że w tem upatrywała środek odroczenia przynajmniej ruiny majątku, którym szastano nad miarę, mając go za coś niewyczerpanego.

Wszystkie teraz projekta podróży wymagające znacznej gotowizny, wyekwipowanie Alfiera, urządzenie jego dworu, oparły się o staruszkę. Alfier wysłany został w poselstwie do babki, a ledwie wszedł na próg, starościna oczekująca ambasadora, wiedziała już o co chodzi... spojrzała mu w oczy gdy ją w rękę całował, i pokręciła głową.

— Coś mi wasze bardzo pokorny, odezwała się, założmy się Michasiu, że cię wysłano w poselstwie do mojego kantorka? A cóż nie zgadłam? dodała widząc zdumienie i pomięszanie na jego twarzy.

— Otóż jeszcze waści powiem, ciągnęła dalej, co ci podczaszyna dysponowała, gdyś tu szedł; — widzisz, nie przez ducha świętego o tem wiem, ale czytam w twarzy twojej, jak z drukowanego. No, no, mów już co ci kazano, bez żadnych przygotowań, prosto z mostu — ileż tobie i twojej matce potrzeba?

— Babuniu kochana, jeśli już o tem mowa, naturalnie, że — co łaska jej.

— A ha! ale przecież! Tysiąc dukatów dla waści, a tysiąc dla podczaszynie? zdaje mi się, że powinno-by wystarczyć, przytem co możecie mieć ze swego? No, jakże?

— Kochana babuniu, mama jedzie do Włoch, to drogi kraj, a ja muszę się sztyftować do stolicy.

— To znaczy, że potrzebujecie więcej, no, powiedz-że mi z czem ciebie przysłano? tylko szczerze Michasiu, jak mnie kochasz szczerze.

— Mama prosi tylko o pożyczanie.

Staruszka ruszyła ramionami.

— Dwóch tysięcy dukatów, a ja.

— No? a ty?

— Ja, co łaska!

— A waszeć mnie już nudzisz z tą łaską! wiesz, że łaska na pstrym jeździ koniku! No! nie frasuj mi się! dam i matce i waści panie Michale, wołę już to niż żebyście mieli, po tych festynach co wszystek grosz wyciągnęły z domu, u żydów pożyczać lub wioski zastawiać. Zamknij-że waść drzwi i podaj mi rękę.

To mówiąc staruszka podniosła się z ciężkością, wzięła kluczyk który jej nigdy nie odstępował, bo we dnie wisiał u pasa, a w nocy leżał pod poduszką, i zbliżyła się opierając na Michale, do starego gdańskiego biórka.

— Gdyby tak na mnie, mówiła idąc — jabym waści nie wyprawiała bardzo szumnie, ale po staropolsku, z trochę grosza tylko, żebyś się waść zaraz przyuczył oszczędności. Pamiętać powinienes Michasiu, że dziad twój nieboszczyk, niech mu tam Bóg przebaczy, całkiem był fortunę Ordyńskich przeświślał, a gdyby nie poczciwy ksiądz Adam infulat, i nie moja praca, nie mielibyście chleba kawałka. Grosz, moje kochanie przychodzi bardzo ciężko, ludzie na niego w pocie czoła pracują i żebyś o tem pamiętał moje serce, to ci też inaczej nie dam, aż mi musisz te dwa tysiące dukatów, co je dla siebie bierzesz po jednym przeliczyć. Rąk sobie nie powalasz, bo to złoto czyste, a jak się znudzisz, to za to kiedyś sobie przypomnisz, co to kosztować musiało pracy, zebrać ten tysiąc i drugi po jednym obrączkowym.

Michaś trochę się skrzywił, ale z babunią gdy co powiedziała, nie było sposobu.

— Wszakże to pewnie liczone! rzekł po cichu próbując się trochę wykręcać.

— I liczone i pieczętowane, odpowiedziała starościna, a dla tego kochanie, po jednemu musisz mi je wszystkie na stole przerachować.

To mówiąc wskazała staruszka cztery zielone woreczki pękate leżące w szufladzie, jakby wcześniej nagotowane, z których każdy po tysiąc czerwonych złotych zawierał.

— Dwa tysiące dukatów, łatwiutko to powiedzieć, szeptała zasuważąc i zamykając starannie kantorek — a dawniej bywało nie jeden szlachcic od stu fortunę poczynął i dorabiał się; nie jeden senator córce więcej pięćset nie dał posagu choć i za księcia i za wojewodę ją wyprawiał; ale teraz pieniądze u was jak plewy, a nie daj Boże przepowiedzieć gdy je tak wyrzucać będziecie, prędko się potem źle ich dorabiać przyjdzie!

Westchnęła staruszka.

— Widziana to rzecz! dodała jakby sama do siebie mówiąc, żeby młody chłopiec, potrzebował takiej sumy do stolicy, nie będąc ani urzędnikiem, ani posłem, ani tam mając interesu? Kiedym nieboszczyka ojca twojego pierwszy raz na sejm wyprawiała, czy myślisz że więcej wziął nad sto dukatów, a jeszcze mi przy obrachunku z panem Puchałą coś około dwudziestu talarów odwieźli nazad i kupił mi grodeturu na jubkę. Ale to teraz inne czasy, licze waść, a uważajże, bo jak się omylisz to będzie *da capo*.

Jakkolwiek pilno było Alfierowi do matki, która niecierpliwie wyglądać musiała jego powrotu. wszakże zadość babce czyniąc, kilka godzin z tym złotem się parał, póki go w porządne kupki nie ułożył.

— Od matki waszeć, dodała staruszka w końcu, weźmiesz dla mnie skrypcik — niech to sobie leży, a swego mi grosza szanuj i nie puszczaj z wiatrem, bo do dziurawej kieszeni djabeł dziurą włazi.

Alfier na wspomnienie djabła, drgnął mimowolnie, spojrzął na obraz Ś. Michała, z którego właśnie ostatnim blaskiem dnia uchodzącego oblany, zdawał się nań wytrzeszczać oczy ów szatan, co go i we snach ścigał. Dziwnem jakimś przywidzeniem zapewne, zdało się Michałowi jakby mina djabła wcale była inna niż dni powszednich — wyraźnie się jakoś uśmiechał do niego, wykrzywionemi usty, z piekielną radością.

— Co za śmieszność — rzekł sam do siebie wychodząc — zawsze mi się jakieś głupstwo przywidzi, przyśni! Napróżno mi Labe Poinot dowiódł argumentalnie, że djabeł jest szczątkiem politeizmu, manicheizmu, utworem wieków ciemnoty i przesądów — zawsze po dziecinnemu dreszcze mnie przechodzą, gdy na ten obraz spojrzę. Ależ bo malarz ohydnie go wystawił! Głupi malarz! fe! fe! nie myślmy o tem.

— Cóż to się tak zamyślił? zapytała wymykającego się babka, która na twarzy opanowanie jakieś postrzegła.

— E! to ten djabeł — rzekł śmiejąc się Michał, ile razy na niego spojrzę, choć przypadkiem, nie wiedzieć co się ze mną dzieje. Dzieciństwo. — Ktoby w djabła dziś wierzył, a ja czegoś go nie lubię jednak!

— Kochanie moje — pogoniła babka słowem za uciekającym, nic to nie szkodzi, że się jeszcze djabła boisz, bylebyś o Panu Bogu pamiętał!

— Nie tak straszny djabeł jak go malują — mruknął Alfier, drzwi zamykając i wymknął się spiesząc do oczekującej matki.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kraszewski-diabel-tom-i/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Djabeł: powieść z czasów Stanisława Augusta*, tom I, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa: M. Glücksberg, 1873 ([Lwów]: K. Piller).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0425-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).